

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 1 lipca 1911. Nr. 26.

Krwawe wybory.

(Treść na str. 2).



Szereg sensacyjnych zdjęć z miejsca katastrofy wyborczej w Drohobyczu.



Krwawe wybory: Lokal wyborczy w Drohobyczu, w pobliżu którego przyszło do rozlewu krwi.

Od Administracyi.

Z numerem dzisiejszym rozpoczynamy **III-ci** kwartał ósmego roku wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem do **6 lipca** prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma **Kraków XV. Nowowiejska 83;** prenumerata wynosi:

Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen.

Do końca roku 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. już wraz z przesyłką pocztową.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra w Warszawie

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rks. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Do końca roku 3 Rbs. 60 kop. — z przesyłką pocztową 5 Rbs 20 kop.

Od Redakcyi. Podane w poprzednim numerze „Nowości Illustrowanych" szczegóły artykułu do illustracyi tytułowej p. t. „Krwawy epizod wyborczy" sprostować należy na podstawie wiarygodnych informacyi o tyle, że zabity w bójce ś. p. Woja[illegible] należał do zwolenników kandydatury posła dra Matakiewicza, a zabójcy jego nie byli agitatorami wspomnianego posła, który ich nawet nie znał i w żadnych z nimi nie pozostawał stosunkach. Prostując bardzo chętnie ten szczegół, zaznaczamy, że padliśmy w tym wypadku ofiarą mylnego przedstawienia sprawy przez korespondenta naszego pisma.

Krwawe wybory.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotograficznych).

Smutną sławę, jaką cieszą się przysłowiowe już np. dla prasy wiedeńskiej wybory galicyjskie, stwierdził 19 b. m. nowy fakt i to tem fatalniejszy, że ofiarą padło dwudziestu kilku ludzi, między nimi zaś



Krwawe wybory: Ulica Stryjska w Drohobyczu, gdzie rozegrała się krwawa tragedya.

wielu spokojnych przechodniów, którzy nie mieli nic wspólnego z ekscesami. Urzędowe wyjaśnienia przedstawiają sprawę w ten sposób, że wojsko, broniące obleganego formalnie przez roznamiętniony tłum lokalu wyborczego, zostało przez nie poprostu zmuszone do użycia broni. Radykalniejsze gazety występują z ciężkimi zarzutami przeciw wojsku, komisarzowi wyborczemu i wogóle systemowi przeprowadzania wyborów. Być może, że sprawę wyświetli toczące się śledztwo — tem bardziej, że prywatne osoby, jak sprawozdawcy dzienników i ludzie, biorący udział w życiu politycznem, dokładają również wszelkich starań, aby dociec prawdy. Wobec tego ograniczymy się na razie do przedmiotowego przedstawienia wypadków drohobyckich.

Dla znających tamtejsze stosunki nie ulegało już na długo przed wyborami wątpliwości, że mandat uzyska dotychczasowy poseł, dr. Natan Loewenstein. Atoli przeciwnicy jego rozwinęli bardzo silną agitacyę. Widząc jej bezowocność, postanowili zarówno Rusini, jak syoniści i zwolennicy samoistnego kandydata Balickiego za pomocą ekscesów udaremnić wybory lub przynajmniej postarać się o powody do ich unieważnienia. Wzburzenie tłumu doszło do punktu kulminacyjnego o 8 mej rano. Przeciwnicy dra Loewensteina przestali zupełnie głosować i wzięli się do organizowania napadów na jego lokale agitacyjne. Zdemolowano naprzód jeden, pomieszczony w domu niejakiego Schreiera, z okien jego obrzucono krzesłami i stołkami przybyłe wojsko, a samego Schreiera poraniono. W innym lokalu agita-



Krwawe wybory: Pogrzeb zabitego podczas zajść w Drohobyczu profesora języka francuskiego ś. p. Berthelota.

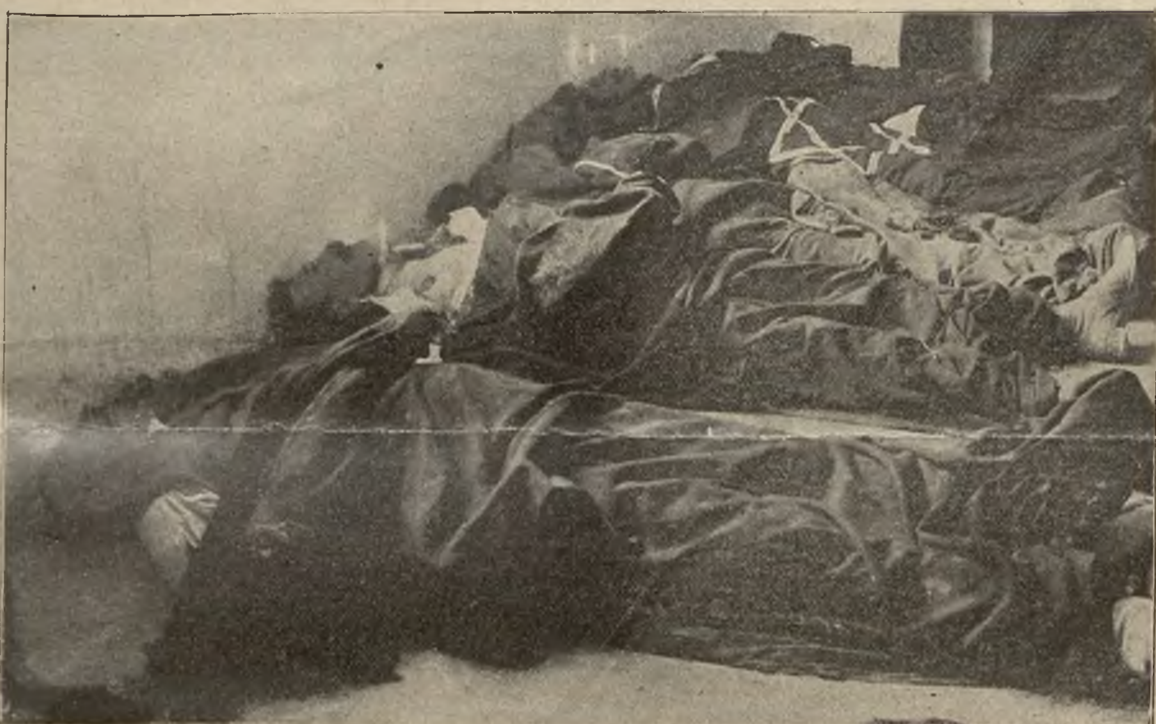
cyjnym wybito szyby i połamano ramy okien i potrzaskano na drobne kawałki dwie dębowe szafy. Powodem tych czynów były rozpuszczone przez agitatorów pogłoski, że w lokalach tych złożono przeszło 3,000 legitymacyi. Następnie zwrócił się tłum przeciw kahałowi i przeciw mieszkaniom stronników Loewensteina, między tymi wiceburmistrza Feuersteina. Wybito im szyby i udano się przed sam lokal wyborczy, w którym wedle krążących pogłosek miały dziać się ogromne nadużycia.

Sytuacya stała się groźną, gdyż dowodzący pełniącemi służbę dwoma kompaniami piechoty kapitan zapowiedział był rano, że w razie ponownego czynnego znieważenia żołnierzy każe strzelać. Próby uspokojenia ludu zawiodły — na wojsko posypał się grad kamieni i wówczas z ust trafionego w pierś cegłą porucznika padło krótkie, nieobliczalne w skutkach słowo *Feuer!* Tłum rozpierzchł się, zaścielając ulicę trupami...

Liczba zabitych wynosiła 24 osób, między temi 3 kobiety. Jak wiadomo, kule nie wybierają. Więc też między ofiarami byli tacy ludzie, jak nauczyciel francuskiego Berthelot, który wychodził właśnie ze sklepu, załatwiwszy jakiś sprawunek, lub kilkunastoletni chłopak, niemowa, który wyszedł był na balkon i został przypadkowo trafiony przez jakiegoś żołnierza o czulszem sumieniu, strzelającego w górę. Zginął również pewien wyborca z inteligencyi, który właśnie nadjechał wówczas przed lokal celem oddania głosu. Prawdziwie potwornym był fakt następujący: Trafiony trzema kulami urzędnik gazowni Wieczyński, który przypadkowo znalazł się był



Krwawe wybory: Zabity podczas zajść w Drohobyczu ślusarz Tatarski w otoczeniu rodziny.



Krwawe wybory: Zwłoki ofiar krwawych zajść w Drohobyczu.

w tłumie, powodowany instynktem samozachowawczym, cofnął się pod mur jednej z kamienic. Ale podniecony widokiem krwi i roznamiętniony żandarm rzucił się ku niemu i przebił go bagnetem. Ciężko rannych było 6 osób.

Bezwątpienia wielką część winy ponoszą agitatorzy, którzy doprowadzili tłum, złożony przeważnie z żydowskiego proletaryatu, do roznamiętnienia graniczącego z szałem. Że jednak przy większej troskliwości władz dałoby się było uniknąć krwi rozlewu, to wydaje się dość prawdopodobnem. Komendant wojska postąpił bezsprzecznie zgodnie ze swym regulaminem, ale czas byłby na jego zmianę w duchu humanitarnym. Obrona honoru armii to bardzo piękny frazes, lecz właściwsze na nią miejsce na polu bitwy. A już na najsroższą karę zasługują takie objawy zdziczenia, jak przytoczony powyżej fakt z Wieczyńskim.

Wiadomość o krwawych zajściach w Drohobyczu wywołała w kraju przygnębienie i zgrozę. Wybrany olbrzymią większością dr. Loewenstein złożył mandat ze względu na rozlew krwi przy jego uzyskaniu i ofiarował 10.000 koron na rodziny ofiar. Umiarkowana część prasy twierdzi, że władze polityczne czyniły wszystko, aby zapobiec nieszczęściu, natomiast gazety radykalne, czyniąc je odpowiedzialnemi za to, co się stało, domagają się ukarania winnych. A prawda zapewne — jak zwykle — pośrodku.

Ze względu na ogromne zainteresowanie, jakie głośna tragedya drohobycka nietylko u nas ale i za granicą wywołała, zamieszczamy w dzisiejszym numerze prócz illustracyi tytułowej, przedstawiającej salwę oddziału wojska przeciw wzburzonemu tłumowi wyborców, szereg interesujących zdjęć z miejsca wypadku, oraz portrety paru ofiar.

Otwarcie jarmarku krajowego we Lwowie.

Sympatyczne i ulubione przez wszystkich Lwowian miejsce spacerowe, popularny plac powystawowy, ożywił się znowu na szereg wielu tygodni, pokrył się znowu mnóstwem większych i mniejszych budynków, zapełnił gwarem wielotysięcznych mas, gdyż urządzono tam trzeci z rzędu jarmark wyrobów krajowych.

Jarmarki te wyrobiły już sobie prawo obywatelstwa wśród szerokiej publiczności. I słusznie. Z jednej bowiem strony dają one doskonałą sposobność zapoznania się z rozwojem wytwórczości przemysłu galicyjskiego, dają sposobność oceny postępu tego przemysłu na rozmaitych polach, z drugiej zaś ułatwiają ogromnie nawiązanie stosunków handlowych między wytwórcami a konsumentami. Poza tem każdy taki jarmark, urządzany jako pewnego rodzaju wystawa przemysłu krajowego, zawiera specyalny dział rozrywek, celem przyciągania publi-



Otwarcie jarmarku krajowego we Lwowie: Przemówienie prezesa „Ligi", ks. A. Lubomirskiego (X), podczas otwarcia, w obecności zaproszonych dygnitarzy.



Krwawe wybory:
Bł. p. M. Ringer. Bł. p. N. Schächter, syn kawiarza. Ciężko ranny Sperling Bł. p. Leon Mühl, kupiec.

czności, gdyż choć już sama wystawa jako taka powinna stanowić moment bardzo atrakcyjny, to jednak komitet liczy się z tem, iż szerszym sferom musi się dać jakieś rozrywki, celem urozmaicenia pobytu na placu wystawy.

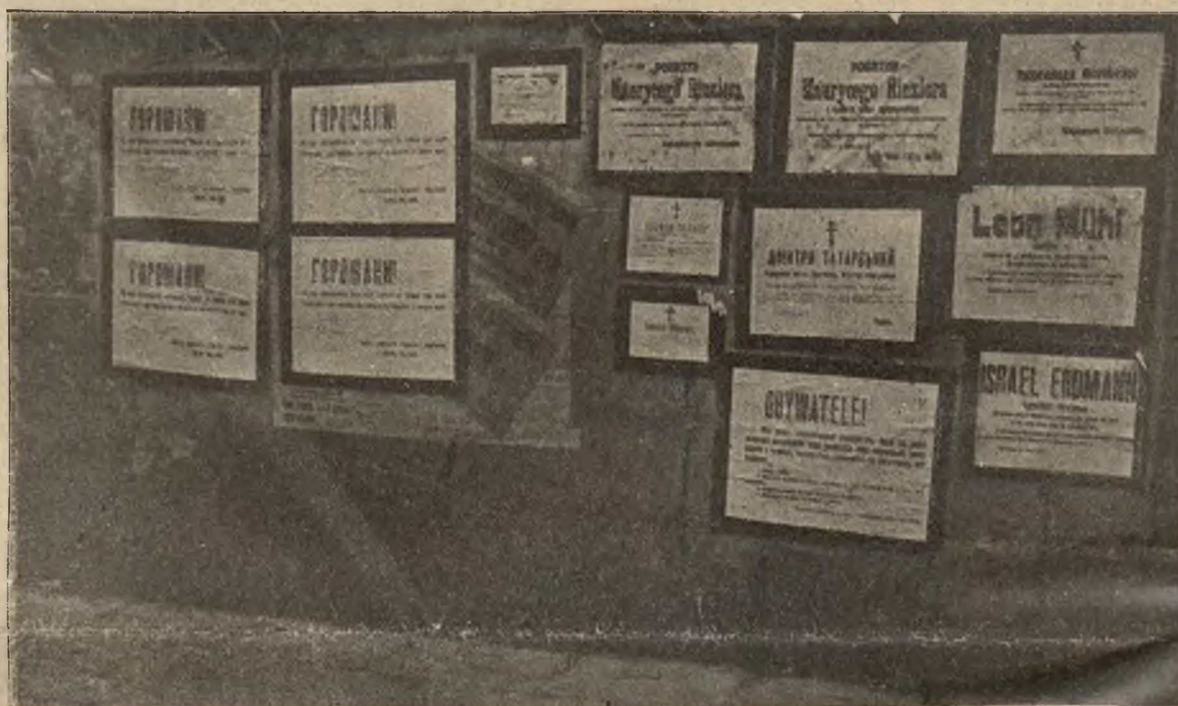
Jarmark tegoroczny pod każdym względem przewyższy obu swych poprzedników. Komitet, złożony z grona gorących zwolenników uprzemysłowienia kraju, grupujacych się około „Ligi pomocy przemysłowej", nauczony doświadczeniami lat poprzednich, uczynił wszystko, aby trzeci jarmark spełnił godnie swoje zadanie. Kilka miesięcy trwała żwawa, energiczna praca około organizacyi tego sympatycznego przedsiębiorstwa, to też owoców tej pracy należy się spodziewać bardzo pięknych.

Główny ruch skoncentrował się w dawnym Pałacu sztuki, gdzie wielcy wytwórcy wystawili i sprzedają wyroby swych fabryk; tam także zajęła kilka ubikacyi „Liga pomocy przemysłowej", wystawiając przegląd wyrobów, wykonanych w założonych i utrzymywanych przez nią szkółkach i instytucyach.

Szczupłe ramy pobieżnego niniejszego opisu nie pozwalają oczywiście na szczegółowe wyliczanie wszystkich wystawców, bo są ich setki, niepodobna również opisywać nawet najważniejszych przedmiotów. Ogólnie tylko należy stwierdzić, że zarówno ilość wystawców jak okazów, przeszła najśmielsze oczekiwanie.

Po za Pałacem sztuki wzniesiono na placu powystawowym mnóstwo gustownych kiosków i budynków, wiele budek jarmarcznych i kramów, gdzie znowu drobni przemysłowcy sprzedają swoje wyroby.

Dużą atrakcyą będzie dla publiczności prócz szeregu zabaw dla dzieci, procz teatru kinematograficznego, specyalny park „Luna", gdzie będzie można tanio a miło i wesoło czas spędzić.



Krwawe wybory: Smutny widok masowo rozlepionych klepsydr ofiar wypadków w Drohobyczu.



Otwarcie jarmarku krajowego we Lwowie: Uczestnicy otwarcia u wejściu do Pałacu sztuki na placu powystawowym. (Fot. J. Jaworski, Lwów).

W ubiegłą sobotę w południe nastąpiło uroczyste otwarcie jarmarku przy udziale wielu wybitnych osobistości i licznie zebranej publiczności.

Byli więc między innymi prezydent miasta Ciuchciński, wiceprezydent dr. Rutowski, poseł dr. Jahl jako delegat Wydziału krajowego, prezes „Ligi pomocy przemysłowej" poseł książę Andrzej Lubomirski, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej Dembowski, prezes Męciński, przedstawiciele wojskowości i instytucyi finansowych, radcy miejscy, reprezentanci Izby handlowej i przemysłowej, naczelnicy władz rządowych i ekonomicznych, dyrekcya i komitet jarmarku i w. i.

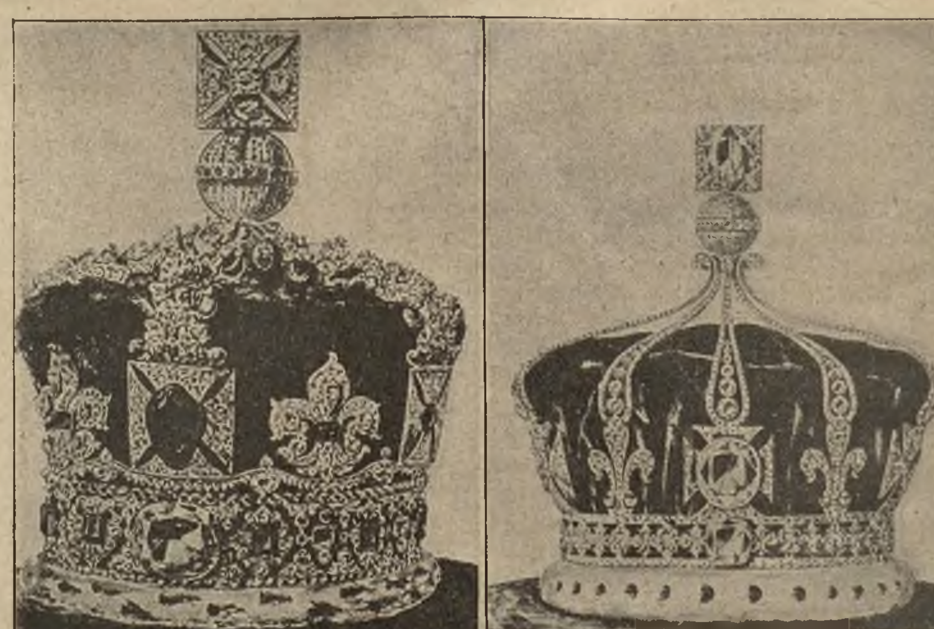
Pierwszy przemówił prezes książę A. Lubomirski. Podniósł on konieczność usilnej pracy nad podniesieniem przemysłu w kraju naszym, kreśląc w wymownych słowach rolę, jaką „Liga" w pracy tej odgrywa. Jednym z ważnych środków, do tego celu prowadzących, są właśnie jarmarki krajowych wyrobów, ułatwiające zbliżenie konsumentów do wytwórców. Podziękował dalej ks. Lubomirski wszystkim, którzy swą pracą przyczynili się do urządzenia jarmarku i jego powodzenia, w szczególności radzie miasta Lwowa, „Lidze pomocy przemysłowej", „Lwowskiej pomocy przemysłowej" i Sekcyi pań.

Po wygłoszeniu przemówienia przeciął ks. Lubomirski biało amarantową wstęgę, zamykającą wejście do Pałacu sztuki i ogłosił otwarcie jarmarku.

Z kolei zabrał głos wiceprezydent miasta dr. Rutowski, życząc instytucyi jarmarku jak najpiękniejszego rozwoju i powodzenia, oraz dr. Jahl imieniem Wydziału krajowego.

Na tem zakończyło się oficyalne otwarcie jarmarku, a publiczność wpłynęła wówczas wielką falą do gmachu Pałacu sztuki, aby obejrzeć wystawione tam przedmioty.

W drugi dzień, w niedzielę, dzięki przepięknej pogodzie, zgromadziły się na placu jarmarku nieprzeliczone tłumy publiczności, co rokuje przedsięwzięciu bardzo ładne powodzenie.



Koronacya Jerzego V: Korony króla Jerzego i królowej Maryi.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

7)

— I cóż pan myślisz, panie Marcinie, czy poprzednie swoje teorye ten nowy kamienicznik wprowadził w wykonanie? Czy swemu stróżowi lepiej płacił, dał mu już nie piękne, ale zdrowe i wygodne mieszkanie, czy dbał o jego dobrobyt, jego przyszłość? Wcale nie! sam jadał pieczenie, sypiał na puchach, miał dziesięć pokoi, żona chodziła w jedwabiach i aksamitach, a jego stróż miał ciemną, wilgotną norę, dzieci nago i boso biegały, a nieraz chleba suchego brakowało.

— To łajdak!

— Nie, panie Marcinie, to człowiek, zwyczajny człowiek. Wszyscyśmy tacy i inaczej być nie może. Każdy z nas, jeżeli potrafi wyzyskać innego, to go wyzyska. Cała rzecz na tem polega, żeby się nie dać wyzyskać. Otóż jeżeli wy, klasy pracujące, w tej walce z kapitałem zwyciężycie, przewrócicie, że tak powiem, świat do góry nogami, to czy pan myśli, że inaczej będziecie postępować, niż ów stróż z Żelaznej ulicy? Wcale nie, chyba, że ustrój społeczny i naturę ludzką zdołacie tak do gruntu zmienić, iż nie będzie wyzyskujących ani wyzyskiwanych, nie będzie ani niewolników ani panów, a to zdaje mi się chyba nie tak prędko — i nawet wątpię, czy kiedykolwiek nastąpi.

— Pan tak gada, że ja nie wiem ostatecznie, czego pan chce.

— Czego ja chcę? Ja chę, żeby klasa pracująca stanęła na tak silnych nogach ekonomicznie i oświatowo, żeby się wyzyskiwać kapitałowi nie dała i żeby wyzysk wogóle był niemożliwy.

— A tak właśnie... dobrze pan mówi... o to idzie...

— Cóż więc trzeba robić? czy walczyć z kapitałem pięścią, jak wy to dotąd robicie, czy też głową?

— Nic nie rozumiem. Jakże to pan chce głową walczyć? Głową, panie, muru nie przebije...

— Przysłowie, które jest całkowicie fałszywe i błędne, bo właśnie nie czem innem, tylko głową mury się przebija, najbardziej obwarowane twierdze zdobywa. Naturalnie, pod wyrażeniem głowa, rozumiem inteligencyę, rozum, obmyślane dobrze działanie...

— Ciekawy jestem, jakie tu może być dobrze obmyślane działanie?

— Nie wiem, panie Marcinie, czyś widział kiedy dukaty polskie, bo to dzisiaj są rzadkie monety.

— Nie widziałem, ale cóż to ma do rzeczy?

— Zaraz się dowiesz. Na tych dukatach przedstawiony jest rycerz, trzymający pęk strzał w ręku z napisem łacińskim, że jedność, zjednoczenie stanowi siłę. Te pojedyncze strzały łatwo połamać i zgiąć, ale całego ich pęku nikt chyba nie jest w stanie złamać. Otóż widzisz, do czego prowadzę. Pojedynczy robotnik w stosunku do kapitału go wyzyskującego jest istotą bezsilną, łatwo z nią zrobić, co się temu kapitałowi podoba, ale całe setki, tysiące i dziesiątki tysięcy pracowników stanowić mogą taką siłę, że nie oni przed kapitałem, ale kapitał przed niemi ugiąć się musi.

— To prawda, tylko, że się to nieda zrobić. Urządzimy strajk, to nie jest on powszechny i zresztą zawsze znajdą się łamistrajki. Albo to pan myśli, że u nas jest jaka jedność? To już leży we krwi naszego narodu. Ja czytałem, panie, historyę polską, niezgoda, panie, nas zgubiła i gubi. Co pan chcesz? Czy to robotnik polski ma inną krew, czy co? On taki sam, jak i jego ojcowie.

— Nie przeczę, ale właśnie powinno nam iść o to, żeby on był trochę inny, niż ojcowie. Zresztą tu nie idzie o strajki. Czy wy wreszcie długo możecie wytrzymać bezrobocie? Tydzień, dwa, miesiąc... ale pół roku, ale rok nie wytrzymacie. Nędza wasza i waszych żon i dzieci zmusi was do ukorzenia się przed kapitałem, który, wypasiony waszym potem, gada: dobrze, schudnę trochę, ale zobaczymy, kto dłużej wytrzyma. Taki jest stan rzeczy.

— Prawdę tu pan gada, ale cóż na to poradzić?

— Trzeba się zrzeszać, a nadewszystko zakładać różne robotnicze stowarzyszenia ekonomiczne, któreby wam dały w razie czego możność istnienia poza sferą wpływów kapitalistycznych, któreby wam zapewniły wygodny byt na starość, bez oglądania się na łaskawe ochłapy, rzucane wam przez kapitał w charakterze odczepnego. Jednem słowem, trzeba przedewszystkiem, żebyście radzili sami sobie, bo zawsze tak bywa, że jeżeli ktoś o nas radzi, to ma na celu tylko własny interes, a potem dopiero nasz i żebyście zostali taką siłą ekonomiczną, z którą ludzie i pracodawcy liczyćby się musieli. Powiedz mi, panie Marcinie, coby to było, gdybyście, dajmy na to, zastrajkowali w waszej fabryce a w waszem zrzeszeniu posiadali takie ogromne zasoby, że wszyscy, jak was jest trzy tysiące, a oczywiście z żonami i dziećmi conajmniej dwa razy tyle, moglibyście wytrzymać i żyć wygodnie przez rok, albo nawet dwa? coby wtedy było?

— Juścić chyba fabrykant musiałby ustąpić...

— Oczywiście, że musiałby ustąpić, bo choć kapitał jest siłą, ale ma tę wadę, że jeżeli nie rośnie, to się cofa, to topnieje, jak lód na słońcu... Raz zaniony kurczy się i chowa... on musi być w ruchu, bo inaczej schnie. Taka to jego właściwość.

Tak z sobą rozmawiali ci dwaj ludzie, a złociste łany zboża szumiały poważnie, szła od nich woń dojrzałości i przepiórki ćwierkały, skowronek zawisł gdzieś pod błękitem i piosenkę swoją śpiewał, jaskółki uganiały się za robakami, wrzało dokoła bujne, szerokie życie natury. Wszędzie, gdzie tylko było rzucić okiem, toczył się bój uparty o prawo istnienia, bój bez litości i bez przebaczenia, i na tych złocistych łanach zboża, na tym czystym błękicie nieba, można było czytać Baltazarowe słowa: kto nie walczy, ten zginie, życie to walka.

A pan Stanisław dalej rozwijał swą teoryę zrzeszeń ekonomicznych wśród sfer robotniczych, przekonany, że te tylko mogą im zapewnić niejaką niezawisłość od kapitału. Uświadczył, że trzeba będzie zwołać zebranie robotników, a na tem zebraniu on wyłoży swój projekt, i może da się rzecz odrazu przeprowadzić praktycznie. Pan Marcin zgodził się na to:

— Zwołać zgromadzenie nie trudno — mówił — a ja się podejmę to zrobić, czy jednak będzie z tej mąki chleb, nie wiem. Teraz, panie, to taksamo, jak dawniej, jedni do Sasa, drudzy do Lasa. Ale próbować nie zawadzi.

Ułożono się tedy, gdzie i kiedy się to zebranie ma odbyć, a pan Stanisław tak się do tej myśli zapalił, że zapomniał o swym pesymistycznym poglądzie na świat i o tej fatalistycznej teoryi, że nic na świecie nie warto robić, bo śmierć wcześniej czy później przyjdzie i nagle położy koniec wszelkim usiłowaniom ludzkim.

Później dopiero, kiedy się rozszedł z panem Marcinem, którego zdrowa, dzielna natura polskiego robotnika nie myślała o śmierci, ale o życiu, gdy został sam, gdy ożywiający go dotąd entuzyazm opadł, począł się dziwić samemu sobie i szydzić z siebie, że dał się porwać zapałowi, marzyć o jakiejś działalności i po co? na co?

— Zgłupiałem widocznie — mówił sobie — czy to warto co robić? Czy choćby najbardziej wytężona moja praca powstrzyma fatalny bieg rzeczy, czy słońce nie będzie wschodziło i gasło codzień tak samo, jak wschodziło i gasło od setek tysięcy lat? czy wszelka istota żyjąca nie będzie zawsze i wszędzie łupem silniejszej? czy śmierć nie przyjdzie do mnie i nie unicestwi mego ja na zawsze, na nieskończone wieki. Moja samowiedza, inteligencya, moja dusza nakoniec przepadnie, rozpłynie się, utonie w wiekuistym wszechbycie materyi. Po co więc ja się mam męczyć, zabiegać, wytężać, martwić i kłopotać, kiedy może jutro umrę! — Głupstwo jest wszystko i marność!

X.

Była to wielka, pusta sala w napół zrujnowanym budynku po browarze, w której w kilka dni po rozmowie Marcina ze Stanisławem Kozłowskim zebrano się na naradę, na wiec robotniczy, jak mówiono. Miało się już pod wieczór i w tej sali o wybitych szybach w oknach, przez które wiatr się dostawał i świszczał przeciągle, porywając i unosząc z szelestem różne śmiecie, szczątki papierów i niezdecydowanej barwy łachmanów, panował posępny półmrok, którego rozjaśnić nie mogło kilka świeczek łojowych, ustawionych na deskach, tworzących rodzaj katedry czy mównicy. Parę lampek naftowych, kopcących niemiłosiernie, zawieszonych u ścian, zgęszczało raczej ciemności, a ich płomień, nie zabezpieczony od wiatru, co chwila wydobywał się ponad szkło i rzucał krwawe, migotliwe światło na zgromadzonych tutaj robotników i nierobotników.

I w tem półoświetleniu, w tym półmroku dziwnie fantastycznie wyglądały te twarze ludzkie, energiczne, silne, żądne wiadomości, te postaci, jak z bronzu wykute, barczyste, o żylastych rękach, karkach potężnych, głowach, jakby siekierą wyrąbanych w kamieniu. Tu i ówdzie dawały się słyszeć rozmowy, ciche szepty, czasem jakaś ręka podniosła się w górę, w kułak ściśnięta, głos energiczniejszy zaklął siarczyście i znowu zaległa cisza oczekiwania, tylko wiatr świszczał przez wybite okna, szeleściały papiery, lampki kopciły i płomienie świeczek migotały nieustannie, rzucając drżące blaski i cienie na twarze ludzkie.

Nakoniec pan Marcin Jabłoński wszedł na estradę zbitą z desek, które pod jego potężną postacią zahuczały głośno i głosem silnym, acz trochę drżącym, zawołał:

— Panowie i Panie!...

Nagle z tłumu odezwał się głos ochrypły:

— Tu niema panów i pań, tylko towarzysze i towarzyszki!

Pan Marcin uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Niechże i tak będzie. Nie idzie tu o tytuły, i jeżeli tak się odezwałem, to dla tego, że taki jest zwyczaj w Polsce.

— Głupi burżujski zwyczaj! — odezwał się ten sam głos ochrypły.

— My nie mamy nic wspólnego ze zwyczajami polskimi — zawołał inny głos młody z wyraźnym cadzoziemskim akcentem — nas Polska nic nie obchodzi, myśmy nie Polacy, ale ludzie!

Nagle na estradę na te słowa jakby z procy wyrzucony, skoczył z pośrodku tłumu Stanisław Kozłowski. Twarz mu pałała rumieńcem, zaiskrzone oczy rzucały pioruny, a ręce w kułak ściśnięte zdawały się chcieć oprzeć tym wszystkim, którzy tu, w tłumie zebranych, gotowi byli deptać jego ideały najświętsze, jedyną rzecz, dla której uważał, że żyć warto. Od świeczek, chwiejących się nieustannie wskutek przeciągu powietrza, padały mu na twarz drgające, niepewne blaski i czyniły jego postać na pół zanurzoną w cieniu, podobną do jakiegoś widma fantastycznego.

Podnosząc rękę w górę z gestem szerokim, zawołał donośnym głosem:

— Bracia, czy wszyscy, jak tu jesteście, zgadzacie się na tę opinię, przed chwilą wygłoszoną, nie wiem przez kogo, że Polska nic was nie obchodzi, żeście nie Polacy, ale ludzie. Czy zgadzacie się na to zdanie?

Cała ta wielka izba, jakby poruszona piorunowym impetem jednomyślności, zagrzmiała okrzykiem:

— Nie! nie! nie zgadzamy się. Polacy jesteśmy i Polakami zostać chcemy. Kto inaczej myśli, to albo głupiec albo zdrajca.

Tu i ówdzie poczęto wołać:

— Kto to powiedział? wyrzucić go! za drzwi z nim!

W tłumie wrzało, szło wichrowe tchnienie masy, podnosiły się potężne, spracowane, grube ręce w kułak ściśnięte, drgało obrażone uczucie tej Polski nieśmiertelnej, dla której tysiące szły konać na wszystkich pobojowiskach świata, gnić w tajgach sybirskich, umierać heroicznie na szafotach. W tych sercach i głowach, zajętych troską codzienną o chleb, o możność życia, odezwała się ukryta gdzieś w głębi duszy, zarzucona rumowiskiem szarych dni bytu, zmięta idea polska.

Stanisławowi, gdy to usłyszał, rozjaśniło się oko i wielka duma i wielka radość spłynęły mu na serce:

— Tak — rzekł — jesteśmy i chcemy zostać Polakami, a kto inaczej myśli jest głupcem lub zdrajcą, więcej głupcem, niż zdrajcą, bo nie rozumie tego, że każdy naród ma prawo do życia, że trudno sobie wyobrazić, dlaczego ja, jako Polak, mam się zrzec swej narodowości. kiedy jej się nie zrzeka ani Niemiec, ani Francuz. Ludzkość to frazes; najłatwiej powoływać się na miłość dla ludzkości, bo to do niczego nie zobowiązuje. Człowiekiem należy i trzeba być, ale to nie wyklucza wcale, bym był Polakiem.

— Ale kto powiedział, że nie chce być Polakiem? — zapytał jakiś głos z tłumu — niech się ten dureń pokaże!

— Ja nie wiem, kto to powiedział — odezwał się Stanisław — ale też o to wcale nie idzie...

— A ja wiem, kto powiedział — zawołał z głębi ciemności jakiś inny głos — to Litwak z T..., Michał Srulowicz Mojsiejew... i oczywiście, co takiego kpa Polska może obchodzić?...

— Nie wymyślać! pyski stulić! — syknęły jakieś inne głosy.

— Co to? rozbój? — wołało kilka głosów z żydowskim akcentem.

— Brauningi będą w robocie! — krzyczano.

Zanosiło się na burzę. Drżała ona w powietrzu

tej ogromnej, na pół ciemnej izby i najmniejszy impuls, pierwsze lepsze popchnięcie, pierwszy krzyk mógł wywołać pioruny. Głuchy pomrok szedł po tych głowach, chwiejących się nakształt fali. Należało to zażegnać i Stanisław zawołał:

— Bracia kochani!...

— Niema braterstwa z burżujami! — znowu ktoś syknął.

Ale Stanisław, nie podnosząc tych słów, wołał dalej:

— Nie zebraliśmy się tutaj dla tego, by rozstrzygać spory partyjne, tu nie idzie o burżujstwo, ale o to, by doli robotnika lepszą przyszłość zapewnić, dać mu tak silną podstawę ekonomiczną, by mógł żyć, nie oglądając się na pracodawcę...

— Ciekawy jestem, jak to...

— Cicho! milczeć! nie przeszkadzać! niech mówi! — poczęto ze wszystkich stron wołać.

Jakoż zbiorowa wola masy wzięła górę nad kilku głosami rozwydrzonych półgłówków i żydowskich poplecznikow nie zdrowej idei socyalistycznej, ale wywrotu, zamętu, w którym oni mogliby ryby łowić. Uciszyło się więc i Stanisław powoli, systematycznie począł wykładać swoją teoryę o Związkach, spółkach ekonomicznych robotniczych. Było może w tem wiele idealizmu, wiele teoryi, zaczerpniętych z książek, ale mowca pomału rozgrzewał się, zapalał, stawał się wymownym, słowa płynęły mu z ust, jak potok, porywał wszystkich za sobą. Słuchano go w milczeniu, chwytano każdy wyraz, na najmniejszy szelest sykano i zmuszano niechętnych do milczenia. Ten tłum, zdawałoby się niekiedy, przesycony mnóstwem najrozmaitszych ideałów, które w tej dobie, jak grzyby po deszczu, rodziły się na glebie polskiej, zawsze jaskrawe i tą jaskrawością swoją porywające umysły nieoświecone, ciemne, znękane niedolą, stąd pragnące szczęścia, mniejsza o to, jaką drogą to mniemane szczęście ma przyjść, ten tłum jeszcze raz dał dowód, jak wielką jest potęga słowa natchnionego, szczerego, z głębi duszy płynącego.

Gdy Stanisław skończył, przez chwilę trwało jeszcze milczenie, a potem odezwał się jakiś głos:

— Wszystko to dobrze, ale jak zrobić?

— Proponuję — odparł na to Stanisław — aby zgromadzenie wybrało z pomiędzy siebie kilku członków, którzyby opracowali projekt Stowarzyszeń robotniczych, o których przed chwilą mówiłem. Zastanowimy się nad tem, a gdy projekt będzie gotowy, sprosimy znowu was wszystkich i projekt ten przedstawimy pod obrady ogólnego zgromadzenia. Cóż, dobrze?

— Chyba, że dobrze — odezwało się kilka głosów.

A inni wołali:

— Niech Marcin Jabłoński powie, czy to będzie dobrze, my ta pana Kozłowskiego nie znamy...

W rzeczy samej Stanisław niedawno do Gór przyjechał i jak dotąd prócz Marcina nie znał nikogo ze sfer robotniczych. Ta nieufność ubodła go trochę. Wszak przed chwilą całą duszę im wylał, naprężył wszystkie siły swego umysłu, by ich przekonać, że pragnie tylko ich dobra i szczęścia, a oni mu nie wierzą, nie ufają, mają go za zakapturzonego swego nieprzyjaciela. Stara niknąca niewiara do wszystkiego, co pachnie szlachectwem, przekazana robotnikowi polskiemu przez chłopa polskiego, odezwała się znowu i groziła zerwaniem słabej nitki wzajemnego porozumienia się i dążenia do jednego celu.

Skorzystało też z tego zaraz stronnictwo przeciwne, stronnictwo owego Litwaka Michaiła Srulowicza Mojsiejewa i postanowiło tę nieufność podniecić i rozognić.

— Tak! tak! nie znamy go wcale!

— Dyabeł wie, kto on taki!

— Burżuj!

— Szlagon!

— Szpicel!

— Pięknie gada, a na zdradzie stoi!

Ze wszystkich stron te obelgi, jak grad, sypały się na Stanisława, który stał oniemiały, przerażony, zdumiony tą zmiennością tłumu i nie wiedzący, jak się bronić przeciw tym napaściom.

Nakoniec zakotłowało się w tłumie, na estradę wyskoczył jakiś młokos, silny brunet, o wybitnie żydowskim typie, ubrany w surdut czarny i z wyraźnym akcentem żydowskim, głosem gardłowym począł wołać:

— Towarzysze i towarzyszki! Losu robotnika nie poprawią jakieś tam głupie Stowarzyszenia, ale zniszczenie doszczętne kapitalizmu, bo dopóki...

— Kto to? — przerwano mówcy.

— Złaź z estrady!

— Co to za jeden?

— To synek kupca z X., Szlomy Stokfisza!

— Co? żydy będą nam tu przewodzić!

— Jabłoński! a gadajcież, co robić...

A tu i owdzie tymczasem poczęła drżeć nuta znanej pieśni i rozlegały się słowa: „sędziami wówczas będziem my“, nad zgromadzeniem całem unosiła się atmosfera kipiących namiętności i gorączki, dochodzącej do ostatniego stopnia. Oczy ciskały błyskawice, twarze pałały, ręce mimowolnie ściskały się w kułak. Panem Stanisławem owładnęło zupełne zniechęcenie. Wszak przed chwilą roztworzył im swoją duszę na ścieżaj, pokazywał im w oddali gwiazdę zbawienia, tryumf i zwycięstwo, a oni go zdeptali, nazwali szpiclem. Nie miał do nich żalu, ani pretensyi. wszak oni należą do tych ludzi, o których Pismo Święte mówi, że nie wiedzą, co czynią, ale obudził się w nim uśpiony na chwilę zgorzkniały pesymizm, który mu szeptał teraz do ucha:

— Widzisz, przekonałeś się, że dla ludzi nic nie warto robić. Nie usłuchają, skopią i zelżą. Niech się żrą wzajemnie, a tobie co do tego? — Wszak wiesz dobrze, że wszystkie twoje usiłowania, całe napięcie twej woli, nie powstrzyma kolei ludzkich przeznaczeń, nie zatamuje wzrostu najnędzniejszej trawki. A przytem — co ci to po tem? przecież czy będziesz co robił, czy nie, zawsze jednakowo umrzeć musisz. I wobec tej nieubłaganej, niepowstrzymanej, koniecznej i nieuniknionej śmierci zastanów się, czy warto łbem mur przebijać i dla tego nikczemnego, dzikiego, chciwego stworzenia, które się nazywa człowiekiem, cokolwiek robić?

Zszedł w milczeniu z estrady i zanurzył się w ten tłum, postanawiając sobie być tylko widzem rozgrywających się przed jego oczami scen.

A sceny te zaczynały być coraz ciekawsze. Już owego żydka, syna kupca Szlomy Stokfisza z X. zagłuszono zupełnie, nie dano mówić, choć kilkakrotnie usiłował przyjść do słowa, rzucał się naprzód, podnosił z zabawnym gestem obie ręce, wzrastające krzyki: precz! precz! precz! won! nie dozwalały mu wyłożyć ciekawej teoryi, w jaki sposób należy zwalczyć przewagę kapitału i zapewnić szczęście ludzkości. Zniechęcony i gniewny, bo czarne jego oczy ciskały pioruny na ten szalejący tłum, a usta szeptały jakieś przekleństwa, stał usunąwszy się nieco na bok, zapewne pragnąc doczekać się tej chwili, w której znowu będzie mógł rozpocząć wykład swej nauki.

A tymczasem wśród tego tłumu rozlegały się krzyki, wielu śpiewało pieśń partyjną, a tu i owdzie dawało się słyszeć przeciągłe gwizdanie, pochodzące zapewne stąd, że za starszymi na ten wiec przekradło się kilku wyrostków, kilku rozswawolonych chłopaków i korzystając z wrzawy ogólnej i ciemności, bawiło się po swojemu.

Ale nagle zaległa cisza, jakby jakaś wróżka z baśni czarodziejskiej rozsypała na głowy zebranych sen ziele. Ręce giestykulujące zatrzymały się nagle, wyrazy na ustach na pół wymówione zastygły, oczy wszystkich zwróciły się na estradę. Tą czarodziejką, która niespodzianie wzburzone fale ludzkich namiętności uspokoiła, była młoda dziewczyna, która nagle wbiegła na skrzypiące deski estrady i podnosząc w górę chudą, szczupłą rękę, zdawała się nią mówić:

— Uciszcie się i posłuchajcie mnie.

Jakoż uciszono się, bo zjawisko było niepowszednie widzieć przemawiającą kobietę i wszyscy byli ciekawi, co ona powie. Była nieco zmieszana i na jej twarzyczkę bladą, mizerną, niezładną, ożywioną tylko parą dużych, gorączkowych, czarnych oczu, wykwitł przelotny rumieniec, który zresztą zaraz zgasł. Stała na estradzie, mając oczy wszystkich na siebie zwrócone i czując te oczy na sobie w swej nędznej wąskiej sukience, nieokreślonej barwy śród tych migotliwych blasków, oddającej jej zaprawdę biodra, jej kształty szczupłe, nikłe, pozwalając widzieć jej nożyny małe, obute w stare, rozdeptane i zabłocone buciki.

Nakoniec opanowała wzruszenie. Podniosła twarz, okoloną włosami, krótko przystrzyżonymi i w nieładzie rozrzuconymi, na których chwiał się jakiś fantastyczny kapelusz słomkowy z kokardą pomiętą i piórkiem, drżącem za najmniejszym ruchem głowy. Wszystko to, ta postać chuda, te buciki wytarte i brudne, ta sukienczyna nędzna, te włosy krótkie i oczy, pałające ogniem, tworzyły ze stojącej na estradzie kobiety zjawisko gdzieindziej bardzo pospolite, u nas w Polsce na szczęście mało jeszcze znane.

— Towarzysze i towarzyszki! — zaczęła mówić głosem, który musiał być kiedyś ładny i pieściwy, ale teraz raził tu i owdzie chropawymi tonami — chcę wam powiedzieć, że wszystko się na nic nie zda, wszelkie teorye nie zniosą nędzy i poniżenia na ziemi, dopóki kobieta nie będzie wolną. Nie z kapitalizmem trzeba walczyć, ale z niewolą kobiecą. Zniesienie jej będzie zniesieniem kajdan, krępujących ręce stanu czwartego...

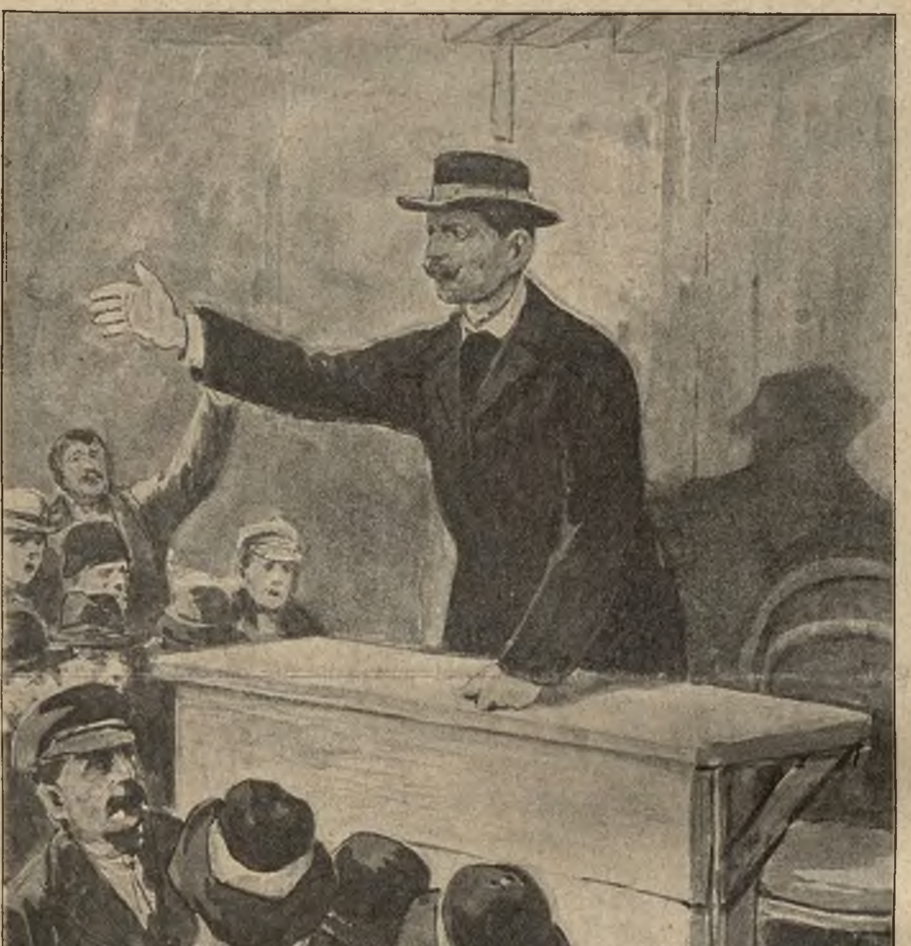
— Co to jest stan czwarty? — ozwał się z głębi głos jakiś z wyraźnym akcentem żydowskim — ja nie słyszał o żadnym stanie czwartym. Co to jest?

Ale ona nie zwróciła uwagi na tę przerwę. Już teraz mówiła płynnie, giestykulowała żywo i nie bez pewnego wdzięku, chuda, wynędzniała twarzyczka rozgorzała ogniem zapału, blade usta pokryły się purpurą krwi, a duże, czarne, kiedyś może bardzo piękne oczy świeciły i takie blaski ciskały, jak brylanty.

— Dopóty — wołała — dopóki nie będzie zniesione małżeństwo, dopóty będziecie w niewoli. Z zapanowaniem w społeczeństwie ludzkiem wolnej miłości, zapanuje szczęście i swoboda prawdziwa.

— Tak! tak! tak! — przytakiwały liczne głosy kobiece wśród zebranych w izbie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Podnosząc rękę w górę z gestem szerokim — zawołał donośnym głosem.

Warsztat dla uczniów szkół średnich.

Nowoczesne kierunki wychowania wprowadziły w zakres zajęć szkolnych pracę ręczną jako przeciwwagę zbytniego przeciążania umysłu ucznia. Szczególniej w szkołach średnich, których kierunek humanistyczny nie kształci samodzielności młodzieży i obrotności pośród coraz to cięższych warunków egzystencyi, praca ręczna uczniów jest koniecznym czynnikiem wychowawczym.

Myśl tę podjął nieodżałowanej pamięci dr. Henryk Jordan i założył warsztaty studenckie, mieszczące się obecnie obok Wawelu tuż nad Wisłą przy ul. Podzamcze L 30. Obejmują one działy: stolarski, tokarski, koszykarstwo, modelowanie, introligatorstwo, obróbkę żelaza, roboty piłeczkowe i wypalanie na drzewie.

W bieżącym roku uczęszczało do warsztatu 200 uczniów. Pracują oni w godzinach popołudniowych, pod kierunkiem fachowych nauczycieli. Warsztatem kieruje prof. Teofil Orszulski.

Wystawa prac uczniów, która się właśnie na zakończenie roku szkolnego odbyła, daje dokładny obraz zadania i kierunku warsztatu, utrzymywanego teraz przez gminę miasta Krakowa.



Warsztat dla uczniów szkół średnich: Wystawa prac uczniów.

Popis w szkole kelnerskiej.

Stowarzyszenie gospodnio-szynkarskie w Krakowie postarało się o utworzenie w Akademii handlowej szkoły dla kelnerów, która istnieje od kilku lat i rozwija się wcale pomyślnie.

W tych dniach odbyło się w niej zakończenie roku szkolnego, połączone z popisem. Obecni byli: dyrektor Akademii Kannenberg, instruktor przemysłowy Ostrowski, delegat Wydziału krajowego Chronowski i wiceprezes towarzystwa Sauer, który prowadził naukę. Po popisie w obsługiwaniu rozdano pilniejszym uczniom nagrody pieniężne w książeczkach kasy oszczędności. Opuszczających szkołę pożegnał p. Sauer, a jeden z uczniów odpowiedział mu, dziękując gronu nauczycielskiemu i stowarzyszeniu.

Szkoła w tym roku składała się tylko z drugiej klasy i liczyła 19 uczniów; 15 z nich otrzymało świadectwo ukończenia.

Teatr dzieci dla dzieci.

Nowosądeckie Koło T. S. L. od czasu wyboru nowego prezesa w osobie dr. Jarosława Opatrznego, prof. gimn. II, weszło w nową fazę działalności.

Przez wciągnięcie do zarządu większej ilości osób, rozszerzyło agendy swej działalności; organizuje się młodzież rękodzielniczą szkół przemysłowych, szerzy oświatę wśród ludu przez czytelnie i odczyty, budzi świadomość narodową w okręgach rusko polskich i niemiecko-polskich.

Rzetelna praca T. S. L zjednała mu sympatye ogółu inteligencyi, dzięki której powiodło się znakomicie zorganizowane przedstawienie dzieci dla dzieci.

Na program przedstawienia złożyły się dwie sztuczki: „Chłopczyk i dziewczynka", dyalog odegrany przez dwoje dzieci, oraz sztuczka Barańskiego p. t. „Królewna lalek". Wystąpiło w niej około 25 młodocianych artystów.

Sztuczka powyższa była zarazem premierą jako opera, do której muzykę skomponował prof. Kosiński, dyrygent Tow. śpiew. „Lutnia". Rzecz przygotowana w sekrecie sprawiła na licznie zgromadzonych słuchaczach tak miłe wrażenie, że profesorowi Kosińskiemu urządzono owacyę.

Organizatorom przedstawienia należy się szczere uznanie i wdzięczność za sumienne przygotowanie obu sztuczek, uznanie tem większe, że praca nad młodziutkimi wykonawcami była bardzo trudna.

Grupę dziatwy, która w przedstawieniu wzięła udział, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Popis w szkole kelnerskiej: Grono uczniów z pp. Sauerem, Zaleskim i Tyralikiem w pośrodku.

W dwadzieścia pięć lat po maturze.

Węzły, zadzierzgnięte na ławie szkolnej, w chwili pierwszej młodości, łączą serca kolegów na całe życie. Rozproszeni po dalekim świecie, duchowo jednoczą się wszyscy wspominając te szczęśliwe chwile, kiedy to na ławie szkolnej roili złote sny młodości, kiedy przyszłość przedstawiała się im w różowych kolorach. Niejednego opanowało później może i zwątpienie, niejeden doznał w życiu przykrego rozczarowania i zawodu, w najcięższych jednak chwilach wspomnienie młodych lat i wspólnej pracy dodawało mu siły i otuchy do dalszej walki życiowej i borykania się z przeciwnościami.

To też odnowienie tych węzłów i przypomnienie sobie wesołych chwil młodości, ma w życiu każdego niepoślednie znaczenie, a przyczyniają się do tego zjazdy koleżeńskie, odbywane peryodycznie w jakiś czas po maturze.

Podobną uroczystość święcili w dniu 18 czerwca byli maturzyści gimnazyum brzeżańskiego, którzy przed dwudziestu pięciu laty złożyli egzamin dojrzałości i rozprószyli się po szerokim świecie.

W oznaczonym dniu zgromadzili się dziś już poważni mężowie na egzortę w sali, gdzie niegdyś mieściła się ósma klasa i zajęli te same miejsca, co ongiś przed ćwierć wiekiem. Były gospodarz klasy, profesor Niebieszczański, odczytał katalog, zakończył zaś przemówieniem dyrektor Kurowski.



Teatr dzieci dla dzieci: Grupa dziatwy, która brała udział w przedstawieniu amatorskiem w Nowym Sączu

O godzinie dziewiątej odbyły się uroczyste nabożeństwa w kościele parafialnym, cerkwi i synagodze, poczem po zwiedzeniu miasta zasiedli byli uczniowie ze swymi profesorami do wspólnego obiadu w salach kasyna urzędniczego, popołudniu zaś za miastem przypomnieli sobie młodzieńczą swą zabawę, tradycyjną „kiczkę“.

Zakończeniem uroczystości koleżeńskiej była wspólna wycieczka do Zamiru na Węgrzech, w której wzięli udział ci z kolegów, którym na to pozwolił czas i zajęcia zawodowe.

Odnowienie dyplomu doktorskiego.

Uniwersytet Jagielloński święcił w bieżącym tygodniu jedną z bardzo rzadkich uroczystości, mianowicie odnowienie po 50 latach dyplomu doktorskiego prof. dr. M. L. Jakubowskiego. W ubiegłem stuleciu dwóch tylko lekarzy, byłych słuchaczów Wszechnicy Jagiellońskiej, doczekało złotych ślubów z *Alma mater Jagellonica,* mianowicie prof. dr. Brodowicz i dr. Michał Zieleniewski: w bieżącem zaś stuleciu odnowił dyplom dr. Józef Zduń z Raby Wyżnej, a obecnie przyszła kolej na prof. Jakubowskiego.

Jubilat jest dzieckiem Krakowa, gdzie urodził się 1837 r., gdzie uczęszczał do szkół i na Wszechnicę, którą przed pół wiekiem ukończył jako doktor medycyny. Poświęciwszy się studyom nad chorobami dzieci, wyjechał celem uzupełnienia wykształcenia do Wiednia, Pragi i Paryża, poczem został w Krakowie docentem pedyatryi. Od r. 1873 aż do 1907 t. z. przez 34 lat był profesorem tego przedmiotu na wydziale medycznym Wszechnicy Jagiellońskiej. W długim tym okresie czasu wykształcił szereg dzielnych lekarzy, posunął naprzód wiedzę i zasłużył się dobru cierpiącej ludzkości. Prof. Jakubowski był dalej jednym z założycieli szpitala dla dzieci pod wezwaniem św. Ludwika, oraz jednym z twórców kolonii leczniczej dla dzieci w Rabce, pod wezwaniem św. Józefa.

Uroczystość złotych godów prof. Jakubowskiego była doskonałą sposobnością dla całego społeczeństwa, by jednemu z najzasłużeńszych i najczcigodniejszych swych obywateli złożyć wyrazy hołdu i czci.

Koronacya Jerzego V.

Wspaniałe uroczystości, których widownią był 22 b. m. Londyn, były bezwątpienia czemś więcej niż dworską ceremonią. Monarchiczno konstytucyjna Anglia widzi w królu głowę widomą całego swego ustroju, wyobraziciela potęgi Wielkiej Brytanii. To też koronacya nie jest prostym aktem czci, oddanym monarsze, jest przedewszystkiem wyrazem dumy narodowej i poczucia własnej siły, a przepych i wspaniałość, roztoczoną przy tej sposobności, należy przypisać także chęci okazania, że Anglia potrafi świetnością obchodu przyćmić nawet własne precedensy. Mimowoli nasuwa się porównanie ze słynnem „polem złotego sukna“, którem niegdyś



Meeting wyścigowy w Krakowie: Szczęśliwi totalizatorowicze czekają na wypłatę wygranej.



Meeting wyścigowy w Krakowie: Dyrektorzy Ludwik Heller i Ludwik Solski na torze.

rozrzutny Henryk VIII. olśnił i zadziwił przyzwyczajoną do zbytku ówczesną Europę.

W dniu 22 od godziny 4 rano grzmiały salwy armatnie. Ulice Londynu zalegały nieprzejrzane tłumy ludu, które przeważnie spędziły całą noc pod gołem niebem, gdyż każdy chciał zdobyć sobie jak najlepsze miejsce. Pochód koronacyjny wyruszył z przed pałacu Buckinghama. Za przedstawicielami obcych mocarstw jechał książę Walii ze swym dworem, a za nimi orszak królewski, poprzedzony oddziałami gwardyi i wszystkich wojsk lądowych i morskich. Przed karocą pary królewskiej jechało 20 generałów, między nimi pogromca Transwaalu Carl Roberts i trzech książąt indyjskich. Po bokach karocy jechali oficerowie komenderujący eskortą, za nimi zaś zwycięsca z pod Omdurmanu, wicehrabia Kitchener i chorąży królewski. Zamykali orszak ks. Connaught, ks. Teck, ks. Ludwik Battenberg i inni krewni Jerzego V.

Do opactwa westminsterskiego wszedł król przez t. zw. *Annexe*, budowę prowizoryczną, przeznaczorą dla najdostojniejszych gości. W kościele przez całą długość nawy rozciągał się wspaniały kobierzec, zdobny monogramami pary królewskiej. Na podyum ustawiono dwa trony, na prawo dla króla, na lewo dla królowej, również z literami G (George) i M (Mary) i z wypisanem na nich starem godłem jeszcze Plantagenetów: *Dieu et mon droit* („Bóg i moje prawo"; po francusku dlatego, że przez przeszło dwa wieki po Wilhelmie Zdobywcy dynastya była jeszcze francuska). Podyum otaczały krzesła dla członków izby lordów i ich małżonek, dalej umieszczono trybuny dla członków Izby gmin. Obok organów stali t. zw. scholarze królewscy oraz chór w białych komżach.

Prezbiteryum nosi podczas koronacyi nazwę „Aera". Naprzeciw ołtarza stoi krzesło dębowe św. Edwarda Wyznawcy, pochodzące z XI. wieku, koło niego zaś tajemniczy kamień ze Skone, miejsca koronacyi królów szkockich, który wedle podania spaść miał z nieba. Na prawo od krzesła św. Edwarda znajdują się dwa t. zw. *recognition chairs* (krzesła rozpoznania), przed nimi zaś pokryte ciemnobłękitną materyą klęczniki. Na lewo od ołtarza zasiadają arcybiskup Canterbury (prymas Anglii) i inni książęta kościoła.



Meeting wyścigowy w Krakowie. Placówka krakowskiej filii biura boockmachera Lackenbachera na torze.



Koronacya Jerzego V: Suknia koronacyjna królowej Maryi.

Ceremoniał koronacyjny ma na celu uwidocznienie dwu momentów — woli ludu i Bożej łaski. Ponieważ tron angielski był w zamierzchłej przeszłości, przed podbojem Normanów, elekcyjny, prymas woła do zgromadzonych: „*Sirs*, oto przedstawiam wam Jerzego, niewątpliwego króla tego państwa, przeto wszyscy, którzyście tu przybyli, macie okazać mu swą cześć. Czy chcecie to spełnić?" Wówczas król zasiada na „krześle rozpoznania", a scholarzy królewscy intonują hymn *God save the king* (Boże zbaw króla).



Odnowienie dyplonu doktorskiego: Prof. dr. Maciej Leon Jakubowski.

Wiarę w pochodzenie władzy monarszej od Boga uwydatnia namaszczenie skroni królewskiej, po którem następuje intronizacya i wręczenie insygniów władzy.

Procesya wchodzi do kościoła. Za czterema rycerzami orderu podwiązki i członkami gabinetu dalej oboma arcybiskupami (Canterbury i Yorku) oraz

lordami, niosącymi insygnia, postępuje królowa w sukni jedwabnej *princesse*, bogato haftowanej w róże angielskie, osty szkockie, koniczyny irlandzkie, lotusy i gwiazdy indyjskie oraz liście dębowe i jaworowe, symbolizujące Anglię i kolonie. Szyję okrywa kołnierz koronkowy, częścią złocony, a z ramion spływa płaszcz z purpurowego aksamitu. Królowej towarzyszą dwaj biskupi, tren niesie sześciu paziów. Za nimi idzie dwór królowej.

Przed królem postępują dostojnicy, jak lord Mayor Londynu, markiz Londonderry, Earl Marschall (wielki marszałek dworu) oraz heroldzi. Przedstawiciele arystokracyi niosą insygnia króla. Jego samego wiodą trzej biskupi. Ubrany jest w ornat purpurowy z trenem i ma na sobie order Podwiazki. Pochód zamyka milicya gwardyi *(Yeomen of the Guard)*.

Para królewska, przyjęta okrzykami „*Vivat Georgius rex!*“, „*Vivat regina Maria!*“, idzie ku *recognition chairs*, a arcybiskup Canterbury zapytuje zgromadzonych, czy są gotowi do złożenia hołdu. Odpowiadają wiwaty i odgłos trąb. Po mszy składa król przysięgę, składającą się z trzech punktów. Pierwsza mówi o stosowaniu się do konstytucyi, druga o sprawiedliwości i miłosierdziu, trzecia odnosi się do wierności wyznaniu anglikańskiemu. Teraz następuje właściwa koronacya—namaszczenie i uwieńczenie koroną króla, a następnie królowej. Prymas wygłasza krótką przemowę, panowie przyklękają na znak hołdu. Pierwszy składa go sam prymas, po nim książę Walii, dalej inni książęta krwi i lordowie.

Insygnia i szatę koronacyjną składa król w kaplicy Edwarda Wyznawcy, ujmuje w rękę prawą berło z krzyżem, w lewą jabłko państwowe, królowa bierze w prawą również berło z krzyżem, w lewą laskę z kości słoniowej z gołębiem, pochód formuje się i opuszcza kościół w odwrotnym porządku. Procesya powraca do pałacu Buckinghama.

W ten sposób odbyła się koronacya. Cyfra gości honorowych wynosiła blisko siedm tysięcy. Porządek utrzymywało 50,000 wojska. Wzdłuż całej drogi, którą przebył pochód, wznosiły się trybuny dla delegatów poszczególnych krajów i baryery, mające hamować natłok tłumów. Łuki tryumfalne wykonano wedle projektów najwybitniejszych artystów. Uroczystość robiła wrażenie nadzwyczaj podniosłe i miała charakter obrazowego przedstawienia potęgi Wielkiej Brytanii.

Powyższy pobieżny opis nie daje oczywista rzecz nawet słabego pojęcia o całym przepychu, o olbrzymiej, imponującej wspaniałości, jaką w dzień koronacyi rozwinięto w Londynie. A mogło się na to wszystko zdobyć chyba tylko tak potężne imperyum, jak Wielkia Brytania, imperyum obejmujące setki ras i miliony obszarów, imperyum stworzone przez naród najbardziej na świecie monarchiczny, gdyż jak żaden inny w osobie króla ucieleśnił pojęcie całego narodu, a w dziejach dynastyi całe jego dzieje.

Prócz członków angielskiej rodziny królewskiej prócz przedstawicieli państw europejskich, świata dyplomatycznego, arystokracyi, parlamentarzystów, którzy wystąpili w uroczystych strojach, przybyli też reprezentanci najodleglejszych zamorskich kolonii angielskich, w swych bajecznych strojach, niesłychanie bogatych i wspaniałych, a przy tem ogromnie oryginalnych.

Nic dziwnego więc, że ci, którzy bawili w Londynie w czasie wspaniałych uroczystości kororacyjnych, mieli się czemu przyglądać.



Meeting wyścigowy w Krakowie: Ruch na trybunach i przed trybunami.



Meeting wyścigowy w Krakowie: Bar. Neimans na „Ruszcie“ p. Bartoscha.



W dwadzieścia pięć lat po maturze: Byli maturzyści gimnazyum brzeżańskiego wraz z swymi profesorami.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

35

Gospodyni nawet cale do dom nie wróciła. „Inszych“ wzieni z „mięszkani“ a „jom“ na gorącem, bo rznęła zdrajców — a że zdrajce teraz górą, tedy, kto im tylko, tego obwieszą. A tak! I gospodynię najpierwszą, bo na Zamku jedną obywatełkę, jak chwyciła za włosy, tak się z nią skulała po schodach i tak ją trzymała, że hułany musieli obie do więzienia! — Cóż, niema co, rzetelna była niewiasta, tyle że rękę miała skorą do byle czego. Kaśka zła jej za to nie życzy — i tak przecież ją obwieszą — równość je pisana w konstetujcy i ju. Najbarzej wedle testamentu. Woźny trebunalski powiada, że spadobierców niema, tedy pójdzie na maistrat. Ale nie wiadomo, bo gospodarzowi się należy i jej, Kaśce, się należy i za mąkę się należy. Najważniejsze, aby krótko, nie tak jak tego jednorała, co kiedy mu kiszki ciągli, to jeszcze mówił... I mszę Kaśka zakupi — a juści, niech tam. Powiadali, że jutro, skoro skwit. Właśnie na woźnego czeka. Trza żeby ktoś ze swoich popatrzał... zawdy raźniej...

Kaśka miałaby jeszcze na parę godzin do mówienia, lecz profos nie słuchał więcej. I tych wiadomości miał zadość.

Odruchowo niemal zawrócił Dziurbacki do ratusza. Ale tu daremny był trud, daremna droga. Wojsko żywego ducha pod mury nawet ratuszowe nie dopuszczało. Karabinierzy rozpędzali gromadki krewniaków i znajomków, którzy o bliskich przepytywać się chcieli!

Dziurbacki juści wyobrażenia nie miał o tem, że energia generała Krukowieckiego nietylko z dygnitarzami rządu wczorajszego zdołała się rozprawić, ale bez mała własnych elektorów pod kluczem osadziła.

W szynczku na Koźlej, do którego był profos wstąpił na ust zwilżenie — rozpowiadano szeroko, że generał Krukowiecki nawet klubistom nie darował, że ksiądz Pułaski, Szynglarski, Czyński, Grodecki, Płużański, Dmochowski i chmara co najgłośniejszych patryotów czeka wyroku, że i Kraiński, co generałowi bakę świecił a zgoła niby adjutant za nim się uwijał, także sądowi podan. Lecz Dziurbacki na tych wszystkich imionach się nie znał. Dowodzenie o tem, że nowy prezes nie pofolguje i samemu Lelewelowi, również niczego nie pouczyło wachmistrza. Natomiast oczywistem dlań było, iż tłum luda pokutuje na ratuszu i że sprawiedliwość ryczałtem pójdzie. No a w tłoku i tu blisko i tam blisko. I potem kto babę docięcze? Nuże zamroczyło ją, nuże z rozbójnictwem poszła dalej, nuże się zażarła i ubabrała w krwie? — Gdzie taką nie poniesie! — Cóż! zasłużyła. Harmatamiby nie dość tratować! Generał Hurtig!...

I profosa już tknęło, aby na Zapiecek wracać a Madejową pozostawić własnemu losowi — lecz wnet go skrupuły napadły.

Szczera była baba. Naprzykrzona i przymilna do zbytku, poszturchiwałaby cały dzień a ślepie raczyła. A przecież barzej mu było z nią. Kiedy go starmosili wówczas pod Zamkiem, niczem rodzona! I czerwona na gębie a podbródków to ma dwa. Że to tyla ciała jej nie zawadza. Sapie a drepcze a miele ozorem! Już w Sandomierzu była niczego. Cie, żeby tak w artyleryi ostał, na całe wojskoby takiej nie znalazł. Przygodziłaby się! Sługocki w ósmym roku miał, co za markietankę szła. Ale nie równać! Tylko, żeby nie poszturchiwała. Babie ślepie do przewracania a jemu do spania! Pojedynkiem snadniej. Namotała sobie, to sobie odmota. A zawsze godziwie się należy. Ostawiać nie podobna, bo i szkoda i żal, juści żal...

Dziurbacki po tem zastanowieniu powędrował do bateryi na Pragę, kalkulując słusznie, że mu kapitan Orlikowski może radę znaleść albo gdzie przez sztabowczyka trafić do sedna.

Aliści na Pradze dowiedział się wachmistrz, że bateryа stoi jak za dobrych czasów w koszarach w Warszawie.

Zaklął siarczyście profos, lecz co było robić, powlókł się z powrotem i o zmierzchu docłapał na ulicę Przejazd.

I tu jednak spotkał go zawód.

Orlikowski z ośmioma armatami wyciągnął do obozu, za Wolą. W koszarach rezydował podporucznik Iliński.

Dziurbacki raczej z potrzeby użalenia się i wypomnienia, jak to Iliński go salwował na Zamku, zameldował się do podporucznika.

Iliński wysłuchał uważnie wachmistrza, musnął z fantazyą puszku pod nosem i zawyrokował.

— Ciężko będzie, mości Dziurbacki! Kapitana niema. Pułkownik się nie mięsza! A potem sam widziałeś, co się działo! Nie ci winni, którzy czynili, lecz ci, którzy podżegali...

— Madejowa ani podżegała, ani czyniła...

— Hm-hm! Za kogo tu ręczyć! Opętanie istne. Strach wymówić, kto był! — Mam wezwanie na jutro do sądu. Generał Mycielski prezyduje z pułkownikiem Majewskim... Idzie o tych, których widziałem... Mogę się zapytać...

— A przecież, bez urazy podporucznika i Madejowa tam była! Ja się oganiałem Cydzikowi a ona z Kościołowską się wodziła, kiedy pan podporucznik salwował nas od zbójów.

— Czekaj, wachmistrzu, tęga, przysadzista, w niebieskiej katance płóciennej...

— Czerwonego oblicza, a podbródków to ma dwa...

— Aa! Toż ona właśnie dławiła jakąś kościstą, małą...

— Kościołowską...

— Tak że trzech żołnierzy ledwie uwolniło...

— Największą morderczynię!

Tu Dziurbacki jął co tchu opowiadać Ilińskiemu o Kościołowskiej, o Cydziku, który za pułkownika się przebierał Sikorskiego a obwiesiem był najgorszym, o tem, że on właśnie pierwszy ze zgrają wpadł do Zamku, że Madejowa po sprawiedliwości z nim, wachmistrzem, była, bo ich oboje zagnała pasya i strach o Antoszkę, dziecinę, co ją Cydzik wplątał, że na zamku ją osadzono, niby pani Marchockiej kompankę...

Iliński, choć piąte przez dziesiąte zrozumiał, przyrzekł solennie rzecz na sądzie powtórzyć.

Wachmistrz chciał dziękować, lecz podporucznik przerwał mu uściśnieniem ręki.

— Mości wachmistrzu, rad wam będę wygodzić. Toć szkoły żołnierza mnie uczyłeś!... A jeżeli nie poradzę, to do pułkownika naszego się udam, z generałem Krukowieckim był w relacyi! — A i pułkownik tem chętniej pośpieszy, gdy będzie wiedział, że o waszą idzie instancyę...

— A nasz pułkownik niby teraz cóż?

— Niewiadomo. Kapitan mówił, że do komisyi obrony Warszawy pójdzie.

— Cie mu tam, na pisanie zeszło! Takie i teraz rządy, mospanie! Szkoda porucznika i czasy, czasy...

— Oj, prawda. Ale, bo nic mi nie powiadacie o tem dziewczątku, coście je ratowali...

— A według tej...

— Właśnie — podjął żwawo Iliński, muskając jedwabistego puszku — aby mi się mignęła w oczach, lecz nieszpetny buziak, dalipan nieszpetny...

Profosa tknęło. Nieprzystojność Antoszki skojarzyła mu się z zapytaniem młodzieniaszka-podporucznika i dopiekła mu do żywego.

— Po nocy chyba — mruknął cierpko Dziurbacki.

— A nie, nie — jak żywą mam ją przed oczyma w świetle pochodni. Dziecko prawie a nie dziecko. Nad wiek urodziwe... i cóż ona, cóż?...

— Ona? — Skręciło ją! — Niema jej... Wody się... — dobrze mówię, o... wody się napiła i ten...

— Cholera!? — wykrzyknął Iliński.

— No, cholera mospanie i już!

XXI.

Pani Marchocka główkę swą ku ramieniu Bema skłoniła i wybuchnęła płaczem.

Pułkownik stracił rezon i jął sumitować się przed kapitanową.

— Pani Anno, proszę do serca... parol, nie chciałem... Jeno, jeno pragnąłem wystawić położenie... Pani nie winna! Los, los tak zrządził... On jeden!... Trzeba zapomnieć. Przed panią świat jeszcze...

Główka pani Marchockiej bezwładniej zwisła, pierś załkała.

Bema i żałość zdjęła i złość na samego siebie.

Sumienia chyba nie miał, aby za tkliwą spowiedź, za rozwarcie mu księgi całego życia, odpowiadać żołdackimi morałami, prawieniem kazania! I jakiego jeszcze. Niczemby kto patykiem lilii imponował. Ona z całą wiarą, z zaufaniem całem do niego — a on z pazurami. Jeszcze w innym momencie, lecz gdy tu u niego tuli się, chroni, ledwie swobodniejszego nabiera tchnienia po strasznych przejściach, po tej nocy okropnej!...

I pułkownik już nie tłómaczył się, lecz błagał o przebaczenie, już nie usprawiedliwiał, ale oskarżał.

Aż wilgotna twarzyczka pani Anny podźwignęła się nieśmiało i ostatnie zaklęcie Bema — utonęło w całunku...

Oczy kapitanowej jaśniały poprzez zroszone rzęsy, jak uśmiech słońca na perlących się kroplami rosy habrach. Pułkownikowi grała w duszy pieśń szczęsna.

Siedzieli obok siebie. Dłonie ich splatały się, szukały wzajemnie.

Twarz Bema gorzała. Blizny, prochem osmalone policzki pułkownika, jakby znikły, wyrównały się. Usta wąskie zazwyczaj a szerokie, napęczniały i kształtny przybrały wykrój.

A obocześnie umysł pułkownika nabierał przejrzystości, mocy, zwartości rzutu. Sięgał w dal, najrozleglejsze ogarniał widnokręgi i wracał ku pięknej kapitanowej zadufany.

Czyżby Bema rozmarzenie wodziło, czyżby złudy pojmały go w swe sieci?

Przenigdy.

Pułkownik rozumiał, ogarniał samego siebie, na siebie samego poglądał.

Miłował? Prawda, gorąco, głęboko miłował, ale nie zaślepienie! Annę wskróś przejrzał i widział w niej nie same lazury, nie same czary — ale i rzeczywistość i to wszystko, co w niej było ludzkiem, złem nawet.

Niedola ją ścigała, prześladowała, powiodła do ołtarza z żołdakiem, prostakiem niewątpliwie, który niezdolen był delikatnych jej uczuć uszanować, który sam, sam pchnął ją na drogę buntu. Wówczas zjawił się Gendre i wycieńczona, złamana, otumanił, zagarnął. Czyż mogła się ostać?... Niecne krętactwo Gendre'a czyniło wszystko, byle ugasić w niej porywy, byle mieć z niej powolne narzędzie dla swych szpiegowskich sprawek. Któraż w jej położeniu by się ostała. Bez środków, bez rodziny, opieki... Nawykła do dostatniego życia, młoda, piękna, pochlebstwami karmiona! — Gendre ją trzymał w żelaznym uścisku intrygi! — Opór, bunt najmniejszy groził jej wyjawieniem tajemnicy jej życia, dyshonorem... A ostatnimi czasy nawet już i kaźnią! Wszak Anna miała chwile, w których rwała się do sentymentów zacnych, obywatelskich. Choćby tego dnia, gdy po raz pierwszy ją widział! Ileż godzin przegawędzili o miłości ojczyzny, o obowiązkach Polki, tego wieczoru pamiętnego, ileż zapału mieściło się w jej głosie, kiedy snuła mu przy klawikordzie rzewną piosnkę rotmistrza. Bezwątpienia — z obcowania z takim Gendrem nie zdołała ujść bez skazy. Szczerby pozostały i w jej wyobrażeniach i w jej i w jej przekonaniach sercu. Lecz drzewko, które robak toczył, godzi się ratować i można uratować. Życie swe poświęci. I powoli, jak ogrodnik zabiegliwy, osmyczać będzie wilczki z pięknej roślinki — spędzać mszyce złośliwe a baczyć, by zbyła się przyziemnych skrętów, by ku niebu zwracała smukłe swe pędy.

Mijały godziny. Dzień odchodził. Słońce ostatkiem swych smug złociło rąbki obłoków. Izdebki pułkownika już szarobłękitna wypełniała poświata. A jemu precz grała jasność promienna i odsłaniała mu nowe widnokręgi, nieznane krainy.

Harmonijny głosik pani Marchockiej kołysał go, czyste, świeże jej tchnienie poiło rozkoszą.

Kapitanowa mówiła mu o swym dworku opuszczonym, o roślinkach, pozbawionych opieki, o tem, że radaby bodaj tymczasem, choć do garderoby swej dotrzeć, drobiażdżków nieco toaletowych wziąć, bo... inaczej, inaczej pułkownikowi zbrzydnie zupełnie w tem zaniedbaniu!

Bem jużci przekonywał ją skwapliwie, że nigdy nie wydawała mu się piękniejszą.

Kapitanowa droczyła się, upierała. Rączki jej kumały się coraz częściej z ustami pułkownika. Promienie splotów pani Marchockiej za pan brat z mundurem Bema szły.

Pułkownik, niby to przy swojem obstawał, lecz jeno byle swarzenie się przedłużyć, byle pozór do przypięcia się mocniejszego do rączki znaleść.

Niekiedy, na żwawe słówko kapitanowej, Bem wybuchał śmiechem serdecznym, takim śmiechem, że dźwięk jego pełny, czysty jemu samemu osobliwością się zdawał. Ani przypuszczał, że tak przyjemne posiada brzmienie.

I jakże mogło być inaczej, gdy oto pani Anna, utyskując ze swym prześlicznym uśmieszkiem na brak grzebiuszczków, wypominała mu, że ma jeden i to napoły bezzębny! Nigdy tego nie postrzegł i nawet dziwował się, że mu nadto dokuczliwie łysinę porze. Ucieszna historya.

Juści trzeba, trzeba jej i tego i tamtego i dworkiem się zająć i ogródkiem, pomyśleć o konsystorzu, o znalezieniu kanonicznych racyi i o służebnej, bo trudno te pieściwe rączyny na zniszczenie wydawać. Uczyni wszystko, wszystko, każde jej spełni życzenie, bo nie miałby sił, nie mógłby go nie spełnić! Wszak dla niej, dla niej tylko żyć będzie, dla niej będzie pracował, zabiegał, jej pragnieniami żył. Było inaczej, samotnikiem się błąkał po świecie. Od śmierci rodziców szukał, latami szukał odzewu, na

manowcach go ścigał nawet! — A teraz nareszcie, nareszcie przystań dla skołatanego serca znalazł.

Przeszkody!? — Czyż mogą istnieć takie, któryćhby on nie skruszył, nie przełamał? Lub czyż zdolną jest narodzić się taka siła, coby była władną oderwać go od kochania, od szczęścia!? Co zdolną byłaby ich rozdzielić?...

Krótkie, energiczne stukanie do drzwi wchodowych przerwało zwierzenia. Pułkownik dźwignął się niechętnie i poszedł otworzyć.

Na progu zadzwoniły hałaśliwie ostrogi.

— Mam honor z dowódzcą bateryi konnej?...

— Tak!...

— Podpułkownik placu Noffok...

— A... wszak dawny adjutant polowy generała Rautenstraucha...

— Do usług.

— Może podpułkownik raczy pozwolić...

— Dziękuję. Przybywam z rozkazem prezesa Rządu narodowego, generała piechoty, hrabiego Krukowieckiego...

— Prezesa Rządu... Krukowieckiego?!

— Tak jest, polecono mi wręczyć to pismo panu generałowi... i pozdrowić pana generała w imieniu hrabiego-generała...

Bem odebrał machinalnie podaną mu kopertę i rzucił okiem na nadpis...

Nadpis, pomimo zmroku — z oślepiająco białej powłoki zawołał doń wielkiemi, czarnemi literami: „Do JW. Generała brygady Artyleryi Józefa Bema“.

Już żwawy wietrzyk rozświtu hulał ulicami Warszawy, gdy Bem wyszedł z pałacu Radziwiłłowskiego od nowego prezesa Rządu.

Krukowiecki przyjął go poczciwie, serdecznie, z całem wylaniem, niby dawnego towarzysza broni. Uhonorował go, epoletami generalskiemi obdarzył... Pani Krukowiecka sama uparła się mu je przypinać a dawne pułkownickie jego na pamiątkę wzięła. — Szczerzy oboje... Mówi się, że niby cała Izba sejmowa na generała go wypromowała!... Lecz żeby nie Krukowiecki, ba, długoby czekał, bo właściwie fawor go spotkał. Chorzewskiego prawie przeskoczył a Chorzewski, według listy starszeństwa, jeszcze w dwudziestym roku przed nim szedł. A Kołyszko? Podpułkownikuje sobie, drągal, zaledwie! To się tam Anusia uraduje! Z chudej fary pułkownickiej — dwa tysiące złotych miesięcznie! Hm — miesięcznie! A co dlań osobiście najmilsze, że siła, siła radości będzie w bateryi. Orlikowski, Jabłonowski, Iliński — dwa awanse i krzyż. Pojęcia nie miał, że tak łatwo można tyle wykołatać. Krukowiecki bo po dyktatorsku się bierze. Ład, porządek, agitatorów, mąciwodów, cywilów w ryzę chwyta! Chłopicki jeno groził a nie trzymał. A ten, miast obiecywać, czyni. Sprawcom mordów nie przebacza. Słusznie, uczciwie! Inaczej, inaczej ranga generalska byłaby wprost męczeństwem, byłaby awansem na ofiarę dla pospólstwa. Strach wypomnieć! Gdzie, od listopada, ilu ich padło z bratobójczej ręki... I jakich żołnierzów, jakich generałów! Hauke, Blumer, Nowicki, Potocki Staś, Siemiątkowski, Trębicki, Giełgud, Jankowski, Hurtig, Bukowski, Sałacki!! Jedenastu!... Winni! A przecież każdy z nich tylekroć razy życie i zdrowie ważył dla tych samych sztandarów, o zdradę których ich pomawiano! A przecież między tymi sprzedawczykami byli ludzie bez skazy, oficerowie dzielni!... Choćby Nowicki a Siemiątkowski a Sałacki! Trudno wspomnieć bez zgrozy, bez lęku przed pomstą niebios! — a tu brak, brak właśnie wodzów, brak generałów... Krukowiecki ma determinacyę — lecz czy nie zapóźno, czy zdoła, czy wytrwa napór... Prądzyński i Dembiński również mówili o opuszczeniu Warszawy!! Krukowiecki słuchać o tem nie chce! Drwi z matematyki, z liczb, z rachunków. — Niestety! — Bem pierwszy rad je sobie lekceważyć, ale w szczerem polu, tam gdzie w odwodzie jest wolny przestwór, gdzie można najgroźniejszego przeciwnika zaszachować, dopiec mu do żywego, zdemoralizować i samemu uniknąć stanowczej, rozstrzygającej bitwy. A tu jakże? Dwie i pół mili całe nietęgich szańców na płaszczyźnie bezbrzeżnej... I, na dobrą sprawę, dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza, miast dziewięćdziesięciu! Męstwo, bohaterstwo znaczy — czasem kompanię umie zamienić w dywizyę — czasem jednym szwadronem korpusowi zagrozić umie. Ale i męstwo i bohaterstwo zamknięte, dławione, opasane zewsząd giną, nikną, wypełniają własnemi ciałami, moszczą drogi mrowiu nieprzyjaciela.

Sowiński zaprzysiągł, że przystęp do Woli po jego chyba trupie! — Szlachetny zapał — lichy argument. Takoż Bogusławski, Muchowski, legion jest takich niezawodnie. Dziejom znów trupów przybędzie! I cóż z nich, cóż po nich?! Jeden przez drugiego deklarują się umierać, gdy tu żyć, bronić trzeba! — Ale podobno taki zapadł wyrok. Krukowiecki o wymarszu nawet sobie wspomnieć nie pozwala. Jeżeli Prądzyński z Dębińskim nie zdołają — ha, to cóż, lepiej milczeć. Poswarów i zamętu i tak dosyć. A w ostateczności najgorsza decyzya warta więcej od chwiania się. Generał Witt przysłał parlamentarza z listem, wzywającym Krukowieckiego na widzenie się z feldmarszałkiem. Rzecz poszła niby o zamordowanie barona Kettlera i szambelana Fanshave. Krukowiecki przypuszcza w tem ukrytą chęć nawiązania pokojowych układów. Twarde byłyby warunki, ale kto wie, czy za miesiąc, za dwa tygodnie, nie byłyby jeszcze cięższe! — Trudno się z tem oswoić. — Ale jego prawo czuwać, działać a nie oglądać się, nie zważać na spodziewania paktów. Krukowiecki daje mu dowództwo artyleryi i to całe prawie niezależne od Umińskiego i Dębińskiego, który obronę Warszawy mają stanowić! — Żeby jeszcze chcieli zwęzić, ścieśnić linię szańców! Sto redut i lunet! A z nich tylko jedna, na trakcie Kaliskim prawdziwie tęga. Działa forteczne mocnego kalibru — ale ich za mało na przestrzeń. Chyba lotne bateryе. Musi, musi zgłębić rzecz. Aby jeno zamknie oczy i do pracy.



Pani Marchocka główkę swą ku ramieniu Bema skłoniła i wybuchnęła płaczem.

Wietrzyk żwawiej musnął po twarzy nowomianowanego generała.

Bem wspomniał na panią Annę i przyśpieszył kroku.

Układła się pewno a może i czeka nań, nadsłuchuje odgłosu kroków a drży z niespokojności! Wypadnie mu chyba kogo uprosić, aby sama nie zostawała. Może pani Dzikowska, swojskiego chowu niewiasta — lecz przez ścianę prawie sąsiaduje!... Boć jemu rozmaicie może się wydarzyć. Krukowiecki zapewniał go, że kapitanowa poprostu do dworku może powrócić. Nie, nie podobna. Dla własnego przeświadczenia! Radyby sobie nie dał, gdyby nie był przekonany, że jest bezpieczną. Ukryje ją, tak ukryje, że nikt, nikt krom niego!

We wnęku kamienicy, w miejscu, gdzie Krakowskie-Przedmieście z wąskiej gardzieli przechodziło w szeroką ulicę, zamajaczył się Bemowi jakiś skulony cień.

Generał sięgnął do sakiewki i nadchodząc ku cieniowi wyciągnął ku niemu rękę.

Cień na ten ruch generała cofnął się, przylgnął do muru, jakby zapaść się weń chciał.

Bem przystanął, spojrzał w głąb wnęku, utworzonego przez szkarpy muru, podpierające kamienicę a rozeznawszy szeroki cylinder i płaszcz dostatni, skłonił się zlekka i odszedł, skonfundowany oczywistą pomyłką.

Lecz zaledwie postąpił kilka kroków — tuż za nim rozległ się zdławiony szept:

— Wszak, wszak to pułkownik Bem?

Generał odwrócił się zdumiony.

Cień w cylindrze i płaszczu szedł ku niemu niepewnie.

— A obywatel co za sprawę masz do pułkownika Bema!?

Cień przypadł doń i za ramię go chwycił.

— Pułkowniku, ratuj mnie, jestem ścigany! Krukowiecki nastawił na mnie siepaczy... Byłem do Exnera zdołał, do austryackiego konsulatu...

Bem, oszołomiony znanem mu brzmieniem głosu, ledwie rozumiał, co doń mówił nieznajomy.

Ten poczytał to za wahanie.

— Czatują na mnie. Ulica do Exnera obstawiona zbirami. Chcieli mnie w pałacu Tarnowskich!... Do oficerskiego honoru pułkownika się odwołuję...

— Lecz... kto... kto pan jesteś?!

— Nie poznajesz że mnie, pułkowniku, nie poznajesz?...

— Generał Skrzynecki!

— Ciszej na Boga! — nadjeżdża patrol... a może oni...

Bema niechęć tknęła do Skrzyneckiego. Lotem błyskawicy przemknęły mu się wspomnienia niedawnych z wodzem rozpraw i dosięgły imienia Jankowskiego! — Wszak ci to Skrzynecki wydał go na śmierć haniebną, on dla osłonienia własnego niedołęstwa Jankowskiego aresztował. — Krukowiecki mu dokumenty pokazał! — Skrzynecki winien. — Tysiące żołnierza zmarnował, on gniazdo szerszeni żywił, on pogrzebał Dęby Wielkie, Iganie, on doprowadził do Ostrołęki...

Niespokojne, błyszczące gorączką oczy Skrzyneckiego padły na epolety Bema.

Wódz wczoraiszy zadrżał.

— Pułkownik jesteś generałem! Rozumiem obligacye, skłaniające pana...

Skrzynecki nie zdołał dopowiedzieć, ile że oddział konny, łopocący dotąd leniwie kopytami w głębi ulicy — porwał się i spadł jak grom przed generałami.

— Kto idzie!? — zawołano surowo z oddziału.

Skrzynecki stanął jak wryty. Bem odwrócił się niedbale.

— Cóż do czarta za indagacye!? Forpoczty czy co u licha!

— Taki rozkaz, generale! — odrzekł jeden z jezdnych, wysuwając konia.

— Kapitan Fiszer! Waćpan audytorujesz teraz w patrolu?

— Czasem i tak trzeba.

— Dobrejnocy kapitanowi.

— Sługa pana generała. A obywatel z nim idący?...

— Wraca ze mną od generała Krukowieckiego, jeżeliś ciekaw.

— Najuniżeniej się sumituję!

— Zostawaj waćpan z Bogiem.

Oddział ruszył naprzód.

Skrzynecki porwał Bema za rękę.

— Generale, ocaliłeś mi życie! Nigdy ci nie zapomnę twej zacności.

— Całe niezasłużonej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przesilenie gabinetowe w Austryi.

Mamy więc znowu przesilenie gabinetowe. Spowodował je wynik wyborów. Pogrom stronnictwa chrześcijańsko-społecznego w Wiedniu, upadek wszystkich wybitnych jego członków, zniewolił ministra



Przesilenie gabinetowe w Austryi: Ustępujący premier gabinetu dr. Ryszard bar. Bienerth.

handlu dra Weisskirchnera, przedstawiciela tego stronnictwa w gabinecie dra Bienertha, do przedstawienia uzasadnionej dymisyi. Stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, straciwszy część mandatów w walce z liberałami i socyalistami, postanowiło wystąpić z dotychczasowej większości i zarezerwować sobie stanowisko t. zw. „wolnej ręki“. Wobec tego dalszy udział dra Weisskirchnera w rządzie, jako przedstawiciela stronnictwa, stał się niemożliwy.

Podobne pobudki skłoniły do dymisyi ministra kolei, dra Głąbińskiego. Wszedł on do gabinotu jako przedstawiciel Koła Polskiego, względnie najsilniejszej jego partyi, demokratyczno-narodowej. Ponieważ obecnie wybory zakończyły się klęską tego stronnictwa, ponieważ tedy dr. Głąbiński nie może być pewny poparcia całego Koła, przeto widział się zmuszonym ustąpić z zajmowanego stanowiska.

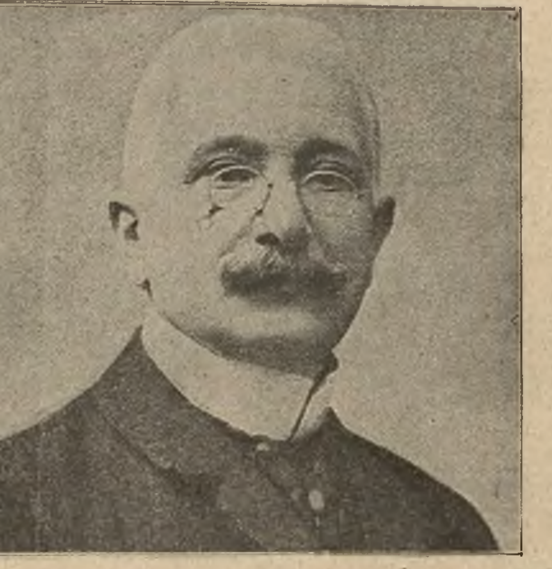
Cesarz obie te dymisye przyjął i powierzył agendy ministerstwa handlu szefowi sekcyi Mattai, a agendy ministerstwa kolei szefowi sekcyi Röllowi.

Zaledwie przebrzmiało echo tych dwu dymisyi, przyniosły dzienniki polityczne wiadomość, iż zmieniona po ostatnich wyborach sytuacya polityczna skłoniła także prezydenta ministrów, bar. Bienertha, do ustąpienia. Wobec nowych, bardzo ciężkich trudności nie czuł się bar. Bienerth na siłach do prowadzenia dalszych pertraktacyi ze stronnictwami celem zdobycia większości dla rządu, zwłaszcza, że stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, na którem on się dotąd opierał, nie mogło mu przyrzec poparcia. I on wziął też dymisyę.

Następcą jego zostanie bar. Gautsch, którego korona już kilkakrotnie powoływała do steru rządu, gdy sytuacya była niepewna i trudna. On objął spadek po drze Körberze, gdy chodziło o przeprowadzenie ustawy o powszechnem głosowaniu, on teraz wypłynął na widownię, gdy bar. Bienerth nie mógł sobie dać rady z opozycyą.

Zadania czekają go bardzo trudne, a pierwszem z nich, przeprowadzenie ugody czesko-niemieckiej, tej chronicznej choroby Austryi, tej bolączki, która powaliła już szereg gabinetów ministeryalnych.

Bar. Gautsch jest człowiekiem niewątpliwie wybitnych zdolności, politykiem bardzo zręcznym i doświadczonym. Czy jednak w tak ciężkiej sytuacyi, jak obecna, da sobie radę z piętrzącemi się trudnościami, jest rzeczą bardzo wątpliwą.



Przesilenie gabinetowe w Austryi: „Mąż opatrznościowy“, upatrzony na prezydenta ministrów, Paweł bar. Gautsch.

Poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół w Zembrzycach.

Na miejscu drewnianego kościółka w Zembrzycach koło Suchej, który przez długie lata służył ludności tej wsi, stanąć ma kościół murowany, również niewielki rozmiarami, ale piękny, jak można przewidzieć z wygotowanych planów, których autorem jest znany zaszczytnie architekt krakowski Franciszek Mączyński. Uroku dodawać mu będzie malownicze położenie w cieniu lip odwiecznych, które szumiały już nad budową jego poprzednika.

Poświęcenie odbyło się bardzo uroczyście w obecności ks. dziekana Klimkiewicza, proboszcza z Tarnawy, jako delegata konsystorza oraz kilku innych księży okolicznych. Przemówienia, wygłoszone przy tej sposobności, były nadzwyczaj podniosłe i upamiętniły tę piękną chwilę w gronie wszystkich obecnych.

Ludność z okolicy przybyła tłumnie na tę uroczystość, przybyła z radością, że jej pragnienie, aby w Zembrzycach stanęła murowana świątynia, nareszcie się spełniły. Rycina nasza przedstawia tłumy ludności, uczestniczącej w akcie poświęcenia, który był dla całej okolicy radosnem, uroczystem świętem.



Poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół w Zembrzycach: Uroczysty akt poświęcenia wobec tłumów ludności.

Kronika tygodniowa.

Wybory tak jakby się już skończyły, bo wprawdzie w połowie okręgów wiejskich przyjdzie jeszcze do ściślejszego głosowania, ale grubsze „ryby“, nadające charakter wyborom, z urny już wyszły, a płotki, które jeszcze wyjdą, charakteru tego nie zmienią. Można już więc przystąpić do obrachunku.

Pomimo półurzędowych zaprzeczeń co do istnienia bloku namiestnikowskiego, skierowanego przeciw narodowej demokracyi, wyszło na jaw, iż w pałacu „pod kawkami“ pracowano głównie nad tem, aby utrącić wszechpolaków i usunąć dra Głąbińskiego ze stanowiska ministra. W parze z tem szło forsowne popieranie kandydatur konserwatywnych. Główną więc cechą wyborów była partyjność i prywata w łonie tak zwanego obozu narodowego. A ponieważ gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta, więc część laurów zwycięskich przypadła socyalistom, lub też ich najbliższym sympatykom. Ulegali tylko tam, gdzie walczył z nimi konserwatysta, święcili tryumfy tam, gdzie walczył z nimi demokrata. Pierwszy bowiem miał olbrzymie kawkowe poparcie, drugi pozostawiony był własnym siłom.

Jakie przytem panowało pomieszanie pojęć i tak zwanych „zasad“, przekonywa najlepiej krakowska „ściślejsza“ walka na Nowym Swiecie. Zastrzegamy się, że nie mamy zamiaru robić t. zw. polityki. *Nowości* nie są pismem politycznem a i kronikarz ich czuje wstręt do polityki. Ale ma on obowiązek obserwowania faktów z chwili bieżącej i zdawać sprawę nietylko z ich zewnętrznego wyglądu, ale i z ich wewnętrznej treści.

Otóż ci, którym los dał szczęście mieszkania i ściślejszego głosowania na Nowym Swiecie, a którzy nie należą do obozu socyalistycznego, mieli do wyboru dwa poglądy: albo uznać, że obie kandydatury są zarówno narodowe i głosować za tą, która im lepiej przypadała do smaku, albo uważając kandydaturę socyalisty jako szkodliwą interesom narodowym, głosować za jego kontrkandydatem, ktokolwiek nim był i jak się nazywał. Zwolennicy pierwszego poglądu postąpili całkiem poprawnie, jeżeli głosowali za drem Markiem — kto bowiem nie wierzy w potrzebę wstąpienia posła do Koła polskiego, kto nie przywiązuje znaczenia do solidarności, kto socyalizm uważa jedynie za straszaka, wysuwanego przez konserwatystów i demokratów dla ochrony ich stanu posiadania, komu szkoda wyrządzona sprawie narodowej przez wybór socyalisty wydaje się bajką, urojeniem głów zacofanych, ten nie miał najmniejszego powodu oddać głos kandydatowi reprezentującemu przeciwne poglądy, a oprócz tego obarczonemu zarzutami co do charakteru. Ale ci, co wierzyli (mądrze czy głupio), że wybór socyalisty jest szkodą publiczną, którzy wyraźnie kandydaturę jego nazywali nienarodową, którzy przy pierwszym wyborze z szerokim gestem odrzucali posądzenie, że głosując za drem Sikorskim torują drogę socyaliście, ci przyczyniając się czynnie lub biernie do urwania głosów drowi Doboszyńskiemu w wyborze ściślejszym, pozostali w zgodzie jedynie ze swą niekonsekwencyą i namiętnością. Dla salwowania swego honoru usunęli się od głosowania lub głosowali za drem Markiem — o salwowanie wyznawanego przez nich interesu narodowego im nie chodziło, choć *salus reipublicae suprema lex*. Pomimo, że na zebraniu w tej sprawie przeszło dwustu wyborców, ogromna większość, składająca się przecież z ludzi honorowych, oświadczyła się za poparciem kandydatury dra D., oni pozostali przy swojem — tej większości ludzi poważnych zarzucili brak honoru, zabierając go na swoją wyłączną własność.

Postąpienie ich nie miało zresztą żadnego praktycznego znaczenia, bo o wyborze na Nowym Swiecie zdecydowali żydzi. Nie przypuszczając, aby socyalista miał szanse wyboru, głosowali przy pierwszym wyborze partyjnie. Niezawiśli, będący w bliskich stosunkach z demokratami krakowskimi, oddali głosy dr. Doboszyńskiemu, żydzi kahalni na złość im głosowali na dra Marka i dra Sikorskiego. Kiedy jednak miał się odbyć wybór ściślejszy między demokratą a socyalistą, wszyscy uznali, że ich interes narodowy wymaga głosowania na socyalistę. Znikły różnice zapatrywań — interes narodowy zwyciężył. Niezawiśli zaraz po pierwszych wyborach przyjęli „z zadowoleniem i z dumą wybór Daszyńskiego“ (słowa dra Ignacego Landaua). „Niezmiernie się cieszymy (mówi dr L. dalej), że Kraków otrzymał tak dzielnego, zasłużonego i wybornego posła... Mamy nadzieję, że wspólna praca Grossa i Daszyńskiego... owocną będzie dla ludności“. Co do wyboru na Nowym Swiecie tenże mówca zaznaczył, że po pierwszym wyborze „sytuacya stała się odmienną“. Wobec „doniosłości faktu“ zwołano zatem Radę naczelną niezawisłych (dr. Gross dla przyzwoitości wyjechał do Lwowa) i polecono niezawisłym dla interesu narodowego głosować za socyalistą. Dr. Marek dostał też 400 więcej głosów żydowskich niezawisłych i kahalnych niż przy pierwszem głosowaniu. Czy więc setka chrześcijańskich zwolenników dra Sikorskiego wstrzymała się od głosowania, a druga setka oddała głosy dr. Markowi — to na wynik głosowania wpływu mieć nie mogło. Pokazało się tylko, że zmiana granic okręgu Wesoła, która miała szkodzić kandydaturze socyalistycznej, nietylko jej nie zaszkodziła, ale zapewniła drugi okręg socyalistom. Wskutek walki między dwoma demokratami dowiedzieli się o swojej sile i okręgu tego już z rąk swych nie wypuszczą.

Wybór z Nowego Swiata był również głośny w naszej ściślejszej ojczyźnie, jak wybór Breitera a upadek bar. Battaglii we Lwowie. Ale rozgłos europejski miał tylko wybór dra Loewensteina w Drohobyczu. Straszny to rozgłos: 24 trupów i 50 rannych! *Nowości* na innem miejscu szerzej ten fakt omawiają, tu więc tylko zaznaczę iż opinia słusznie się domaga bezstronnego śledztwa i surowego ukarania winnych. Straszna to rzecz, aby walka Feuersteinów i Schutzmanów doprowadzała do takich wyników. Bez względu jednak na to, kto odpowiadać będzie, winę moralną ponosi w pierwszym rzędzie wyborczy system galicyjski. Jest on wprost urąganiem wspaniałej, ślicznej na papierze ustawie o zapewnieniu czystości wyborów. Zapewne, że ludzie są ludźmi, że niema może kraju, w którym panowała ta czystość idealna, że wszędzie istnieją pewne wpływy, paczące wolę wyborców, ale to, co się w Galicyi dzieje, jest bodaj czy nie unikatem na całej kuli ziemskiej. Mówią, że coś podobnego istnieje na Węgrzech — jeżeli tak, to galicyjskie wybory są duplikatem. Ale trzeciego „egzemplarza“ pewnie nigdzie nie znajdzie. Przykład niestety idzie z góry a stąd „robienie“ wyborów doszło do bezczelności. Gdyby ustawa o ich czystości była wykonywaną, to trzebaby zbudować więzienia na kilkadziesiąt tysięcy „zabrudzonych“. Drohobycz jest prostem następstwem tego systemu.

Czytałem niedawno o karykaturze z czasów Ludwika Filipa. Około chorej matrony Francyi stoi lekarz i mówi: *Madame! Il faut changer du systeme*. Stan zdrowia matrony Galicyi jest chyba znacznie gorszy, niż był stan Francyi — oby więc znalazł się lekarz, któryby zmienił system jej leczenia. Dzisiejsi jej lekarze to fuszery, to dawni małomiasteczkowi chirurdzy, co gorączkę, nieraz przez nich samych wzniecona, jedynie puszczeniem krwi leczyć umieli.

Pan Loewenstein oświadczył, że choć nie jest sprawcą katastrofy, choć legalnie został wybrany, złoży swój mandat i powtórnego wyboru nie przyjmie. Czy dotrzyma słowa, choćby go wyborcy bardzo a bardzo prosili? Może, a wówczas to się zapisze na jego *bene*. Ale pewni nie jesteśmy, bo u nas wyborcy umieją prosić. Czasem jeszcze na tydzień przed wysłaniem z prośbą delegacyi nie wiedzą nawet o istnieniu owego kandydata, a przecież go tak pięknie proszą, aby powiat, czy miasto swym mandatem zbawił, że biedak prośbom oprzeć się nie zdoła, zwłaszcza że koszta podróży delegacyi już z góry zapłacił. Otóż obawiamy się, że i dr. Loewenstein nie będzie umiał oprzeć się prośbom. A czasby mu było zaiste odpocząć, chociażby po laurach rydzyńskich.

Odpoczywać też będzie prawdopodobnie cały gabinet austryacki, który chciał wyborami polepszyć swą sytuacyę, a tymczasem ją sobie pogorszył. Partya chrześcijańsko społeczna, na której się opierał, wzięła w łeb; przepadli jej dowódcy, przepadł nawet jej minister. I tu widać różnicę między systemem wyborów w królestwie trzykawkowem, a w innych prowincyach państwa. Wszak w Wiedniu maszynę wyborczą mieli w swych rękach chrześcijańsko społeczni, a mimo to jak muchy ginęli. Ba! a niechajby się ośmielono w Galicyi nie wybrać już nie pana ministra, ale choćby exministra, choćby kandydata na ministra, choćby wyższego urzędnika ministeryalnego, choćby nawet lokaja panów ministrów! Lokajów zresztą mają nietylko panowie ministrowie, bo oto jeden ze świeżo obranych posłów *urbi et orbi* ogłasza, że będzie wiernym prezesowi stronnictwa. Wierność zasadom stronnictwa to obowiązek, wierność stronnictwu to już rzecz względniejsza, bo stronnictwo może zdradzić swe zasady — ale wierność prezesowi, to coś całkiem nowego, a w wypadku, o którym mowa, bardzo „nieciekawego“, bo jeżeli kto, to ów prezes nie cieszy się dobrą opinią nawet wśród lepszych ludzi własnego stronnictwa, bo jeżeli kto, to ów prezes nie daje żadnej gwarancyi wierności głoszonym przez siebie zasadom.

Ale odczep się już raz polityko od kronikarza. Pozwól mu wspomnieć, że ową szlachetną ofiarodawczynią, co przeznaczyła 1,600 000 kor. na bibliotekę publiczną i szkołę Sztuk pięknych w Warszawie, jest pani Stanisławowa Kierbedziowa.

A kiedy mowa o milionach zanotujmy, że był w Krakowie proces milionowy. Pewien kandydat adwokacki zaskarżył sędziego o to, że go kazał zbadać psychiatrom i obliczył swą szkodę z tego powodu na milion koron, tyle bowiem stracił czy może stracić przez brak zaufania klientów do jego osoby. Widzimy stąd, jak popłatną jest adwokatura w Galicyi, kiedy zmniejszenie czynności kandydata adwokackiego naraża go na stratę miliona. Pytanie tylko, kto miałby ten milion zapłacić, bo sędzia, o którym mowa, jeżeli posiada jaki majątek, to ten z pewnością nie przekracza miliona... halerzy.

O milionie zarobku dla nie siebie marzy Łom. Kto to zacz? spytacie. Jestto źrebak ks. Lubomirskich, o którego fenomenalności donoszą dzienniki. Chce on, a raczej jego właściciel, walczyć o zdobycie *blue riband* (wstęgi błękitnej) w Epsom. Jestto największy zaszczyt, jaki na tym świecie może przypaść koniowi. Uniegać się o niego stanowczo nie będą rumaki, które się popisywały świeżo na torze krakowskim. Ale i tak już doznały zaszczytu, że je uznano za konie wyścigowe.

A kiedy mowa o derby angielskiem w Epsom (oby spadła w niem na naród nasz chwała!) wspomnieć można, że w Anglii jest nieco łatwiej o ludzi, mogących utrzymywać stajnie wyścigowe. A łatwiej dlatego, że statystyka podatkowa wykazała, iż w Królestwie W. Brytanii znajduje się 10.300 osób mających ponad 100 000 koron rocznego dochodu. Podobno takich znajduje się w Galicyi aż 103, to jest stanowią setną część swych „kolegów“ angielskich. Na zwiększenie się zaś liczby galicyjskich stotysiącodochodowych trudno jest liczyć, ponieważ c. k. fiskus, troskliwy o to, by nie było zbyt wielkich różnic między obywatelami (co, jak wiadomo, prowadzi do niezadowolenia), postara się zapewne przy pomocy świetnego systemu podatkowego, aby cztero, pięcio, sześcio lub siedmiotysiącodochodowych nie szarpały harpie zazdrości na widok owych 103 posiadaczy stutysięcznego dochodu. A ponieważ znowu cztero, pięcio, sześcio i siedmiotysięczni kłują w oczy dwu i trzytysięcznych, przeto tenże c. k. fiskus, wraz z pomocniczymi mu urzędami, stara się o założenie na nich takich ciężarów, aby nie mogli rozbijać się, imponować świetnością swych stosunków finansowych.

A kiedy mowa o podatkach przytoczę zupełnie świeżą, bo niedawno urodzoną, za co ręczę, anegdotę.

Do zakrystyi kościelnej zgłosiła się kobieta w starszym wieku i wyjąwszy 10 kor. zamówiła żałobne nabożeństwo za duszę swego męża.

— A jak się nazywał mąż pani? — spytał staruszek ksiądz o twarzy pełnej dobroci.

Wymienione nazwisko wydało się kapłanowi skądś znanem, więc pyta dalej:

— Kim był nieboszczyk?

— Radcą skarbowym w administracyi podatków.

— O droga pani! to szkoda twoich pieniędzy i naszego zachodu — takim to już nic pomóc nie może.

I oddał zdziwionej kobiecie 10 koron.

Meeting wyścigowy w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 8, 9, 10).

Oczekiwany z niecierpliwością przez krakowskich sportsmenów meeting wyścigowy w Krakowie rozpoczął się w niedzielę 18 czerwca pod najlepszemi auspicyami. Współudział znanych i wybitnych stajen, bardzo liczne mianowania do wszystkich prawie biegów, zapowiadały widowiska i piękne i interesujące. Istotnie pierwszy dzień nie zawiódł pokładanych nadziei. Niebywałe w Krakowie liczne pola, po 7, 8 a nawet 9 koni u startu, żywy ruch przy totalizatorze, licznie zebrana i z zaciekawieniem śledząca przebieg wyścigów publiczność, wszystko to przypomniało dawne, tak świetne czasy toru krakowskiego.

Zaraz pierwszego dnia atoli uwidoczniła się w kilku biegach tak przygniatająca przewaga kilku koni, że wywarło to ujemny wpływ i na współudział stajen w biegach i na zainteresowanie publiczności i na ruch przy totalizatorze.

Prym wiodła przedewszystkiem stajnia znanego zaszczytnie sportsmena, zapalonego hodowcy koni wyścigowych, p. Kazimierza Ostoi Ostaszewskiego. Jego „Pani Dulska„, „Polish Galloway" i „Maseczka" w biegach gładkich, „Wright" w gładkich i z płotami a „Ardenka" w *steeple-chase'ach* okazały się końmi nie do pobicia na torze krakowskim, to też do zawodów z nimi mało zwykle stawało koni i bez nadziei zwycięstwa. Stąd i totalizatorowicze nie mieli emocyi, a wygrane faworytów przynosiły im w zysku... zwrot stawek.

Obok wspomnianych koni wyróżnił się paru pięknemi zwycięstwami „Kupidynek" hr. Zdzisława Tarnowskiego, jako doskonały *steepler*, „Rauhenstein" rotmistrza Buzinkaya, „Gamratka" hr. Dzieduszyckiego i „Chorążanka" hr. Siemieńskiego.

Stajnia p. Zangena zawiodła w tym roku a odczuli to najdotkliwiej totalizatorowicze, którzy, kierując się lokalnym patryotyzmem, obstawiali stale konie tej krakowskiej stajni i oczywiście przegrywali.

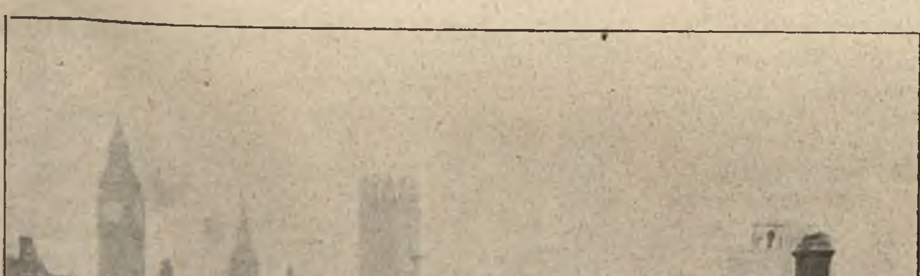
Dopiero w ostatnim dniu odniósł p. Zangen dwa ładne zwycięstwa, „Bursakiem" w biegu o nagrodę „Wawelu" (3600 kor.) i „Kańczugiem" w biegu pożegnalnym. Zwłaszcza „Bursak", bijąc doskonałe



Krwawe wybory: Nauczyciel języka francuskiego, ś. p. Eugeniusz Berthelot, zabity podczas zajść.



Krwawe wybory: Ulica Stryjska w Drohobyczu; na prawo lokal agitacyjny (X) dra Löwensteina.



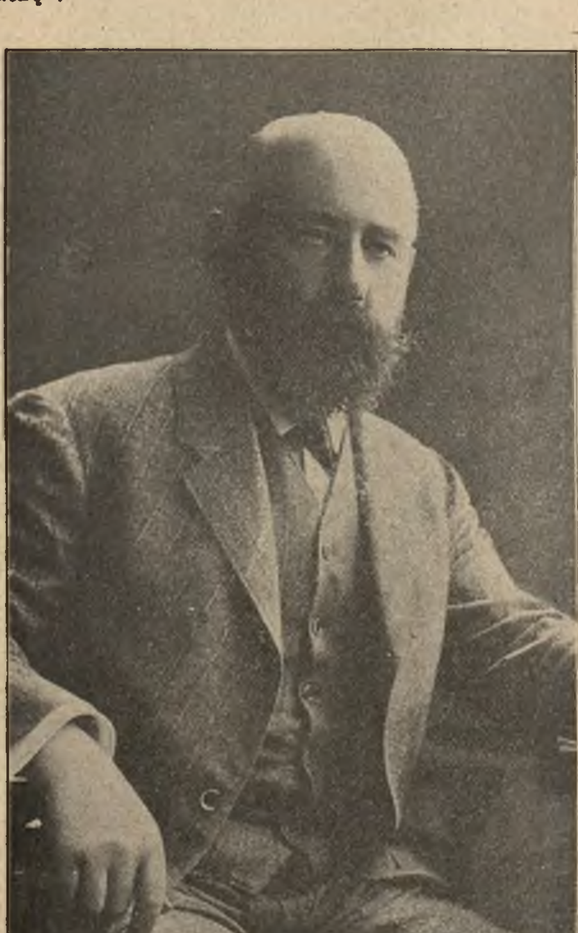
Koronacya Jerzego V.: Pochód koronacyjny w ulicach Londynu.



Koronacya Jerzego V.: Król Jerzy V., królowa Mary i dwaj ich synowie.

konie księcia Jerzego Lubomirskiego „Bella donnę“ i „Rosalie“, okazał się koniem dobrej klasy.

Ze stajni ks. J. Lubomirskiego wyróżniły się prócz dwu wspomnianych, także „Gyöngyössi“ i „Bezigue“, która zdobyła hr. Tarnowskiego „Memorial-Stakes“ (5.000 kor.), największą krakowską nagrodę. Zawiódł natomiast „Floridsdorf“, doskonały *steepler*, pokonany raz przez „Kupidynka“, a raz przez „Gamratkę“.



Nagły zgon zdolnego finansisty: Bł. p. dr. Adolf Lilien.

Stajnia rotmistrza Kollera, który przed paru jeszcze laty święcił na torach krakowskim i lwowskim prawdziwe tryumfy, w tym roku niczem się nie odznaczyła. Konie jej przychodziły stale bez miejsca.

Wspomnieć jeszcze należy o pięknym rozwoju stajni p. Ułaszyna, którego „Berezyna“ jest koniem bardzo dobrym.

Zaznajomienie się z wartością koni w pierwszym dniu ułatwiło miłośnikom totalizatora grę, ale też stało się powodem, iż wygrane bywały minimalne, gdyż wszyscy obstawiali faworytów.

Bardzo źle wyszła też na przewadze kilku stajni krakowska filia boockmacherskiego biura Lackenbachera. Nietylko bowiem musiała do „interesu“ dopłacić, ale naraziła się na niesłuszne zarzuty, iż daje kiepskie warunki, co jednak było koniecznem następstwem stałych zwycięstw faworytów. Na ogół atoli należy się przedstawicielom tego biura w Krakowie, pp. Landowskiemu i Zweigowi uznanie za kulantność i uprzejmość w stosunku do publiczności.

Wspomnieć jeszcze należy na koniec, że w czasie pięciodniowego meetingu wydarzyło się na torze krakowskim tylko parę drobnych wypadków w biegach z przeszkodami, bez jakichkolwiek złych następstw dla jeźdźców i koni. Stało się to niewątpliwie dzięki pięknej pogodzie i dobremu stąd stanowi toru wyścigowego.

Uzupełnienie paru tych uwag o meetingu krakowskim stanowią zdjęcia fotograficzne, zamieszczone w dzisiejszym numerze.

Nagły zgon zdolnego finansisty.

W ubiegłą niedzielę zmarł nagle we Lwowie na anewryzm serca dr. Adolf Lilien, szef znanej tam tejszej firmy bankierskiej Sokal i Lilien.

Dr. Adolf Lilien objął renomowany ten dom bankowy po swym ojcu i prowadził go z wielką znajomością rzeczy. Zdołał też w niedługim czasie do prowadzić do pięknych wyników, dzięki czemu firma ta należała do pierwszych nietylko w mieście ale i w kraju. Niedawno traktował wiedeński „Union-Bank“ o nabycie tej firmy, a następnie miała być przemieniona w towarzystwo akcyjne pod firmą „Galicyjski bank Union“.

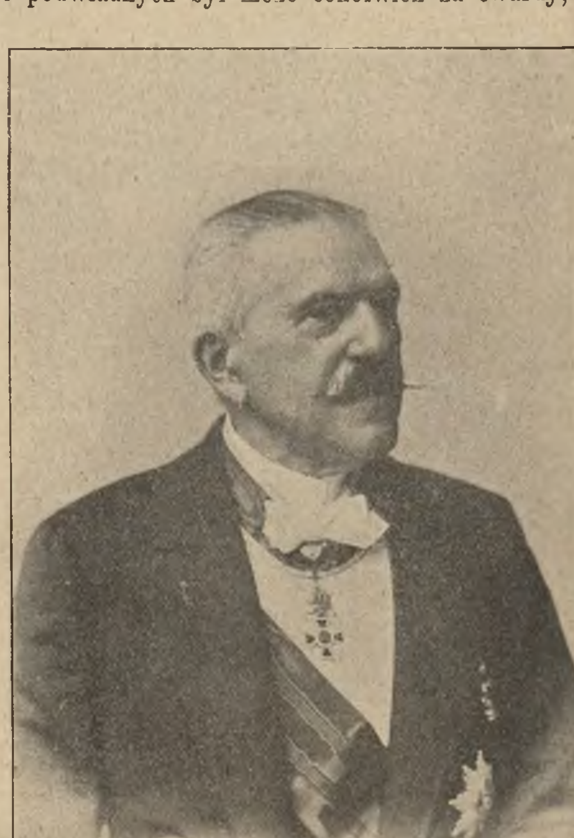
Bł. p. dr. Lilien był bardzo zacnym obywatelem. brał żywy udział w życiu publicznem, starając się zwłaszcza o unbywatelenie żydów i o zasymilowanie ich ze społeczeństwem polskiem. Wraz z ś. p. Rewakowiczem założył towarzystwo „Przymierze Braci“ i dwutygodnik „Ojczyznę“, zasiadał nadto w wielu innych towarzystwach i odznaczał się wielką dobroczynnością.

W lwowskiej Izbie handlowej i przemysłowej zasiadał od lat wielu i należał do jej najczynniejszych członków. Z powodu zalet umysłu i serca cieszył się ogólną sympatyą i poważaniem, to też wiadomość o nagłej, przedwczesnej jego śmierci przyjęto z ogólnym żalem i współczuciem dla osieroconej rodziny.

Zgon byłego prezydenta krakowskiej apelacyi.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Krakowie były prezydent sądu krajowego wyższego, J. E. Ignacy Zborowski, człowiek, który niepoślednią rolę odegrał w organizacyi i reformie zachodnio-galicyjskiego sądownictwa. Powołany w r. 1886 na stanowisko prezydenta, znalazł ś. p. Zmarły sądownictwo galicyjskie liczebnie słabe, przesiąknięte żywiołami biurokratycznymi i straszliwie przeciążone pracą. Te niedostatki trzeba było usunąć, trzeba było ciężko walczyć i we Wiedniu i w kraju. Niezwykła jednak energia, gruntowna znajomość rzeczy, nadzwyczajna pracowitość i idealna prawość charakteru, pozwoliły ś. p. Zborowskiemu spełnić ciężkie zadanie, przechodząc też po prawie pięćdziesięcioletniej służbie w stan dobrze zasłużonego spoczynku, pozostawił swemu następcy sądownictwo wzmocnione, odmłodzone i popchnięte na nowożytne tory.

Zarzucano byłemu prezydentowi, iż w stosunku do podwładnych był może cokolwiek za twardy, to



Zgon byłego prezydenta krakowskiej apelacyi: Ś. p. J. E Ignacy Zborowski.

jednak przyznać musi każdy bezstronny, iż potrafił i umiał poznać i wyróżnić prawdziwy talent i rzetelną zasługę. Pod jego kierunkiem wychowało się całe pokolenie sędziów, doskonale przygotowanych do swego zawodu, słusznie też uważa się go za reformatora i odnowiciela tej tak ważnej magistratury.

Ś. p. Ignacy Zborowski urodził się w r. 1826 w Czerniowcach. Po ukończeniu we Lwowie studyów prawniczych, posądzony o nieprawomyślność polityczną nie mógł początkowo uzyskać żadnego urzędu państwowego, wreszcie przydzielono go do sądów węgierskich, skąd dopiero w r. 1860 powrócił do kraju i zajmował odtąd stanowisko sędziego w Tłumaczu, Brodach i we Lwowie. W r. 1886 zamianowany prezydentem apelacyi krakowskiej, zyskał sobie na tym posterunku uznanie władz przełożonych i społeczeństwa, otrzymał też wysokie odznaczenia, między innemi godność tajnego radcy, wielki krzyż orderu Franciszka Józefa, krzyż komandorski orderu Leopolda i order Żelaznej korony trzeciej klasy. W stan spoczynku przeszedł w r. 1897.

Ponadto piastował ś. p. Zborowski godność



Pierwszy „dreadnought“ austryacki: Biskup polowy armii austryackiej dokonuje poświęcenia nowego okrętu.



Jubileusz robotnicy: Stefania Ebertowska.

członka lwowskiej rady miejskiej przez dwie kadencye, posłował także do parlamentu wiedeńskiego z okręgu złoczowskiego.

Cześć pamięci zacnego obywatela urzędnika!



Nowe magnificencye: Rektor wszechnicy Jagiellońskiej dr. Władysław Szajnocha.

Pierwszy dreadnought austryacki.

Marynarka wojenna austryacko-węgierska święciła w dniu 24. czerwca b. r. niebywałą uroczystość. W warsztatach okrętowych *Stabilimento tecnico triestino* spuszczono na wody pierwszy austryacki dreadnought *Viribus unitis*. Jest to kolos, zbudowany wedle najnowszych wymagań, o monstrualnej wprost pojemności i jednolitej ciężkiej artyleryi, zaopatrzony nadto bardzo grubym, stalowym pancerzem, słowem okręt, który jednoczy w sobie do najwyższego stopnia rozwinięte środki ofenzywne i defenzywne. Austryacko-węgierski pancernik, jako reprezentant nowej klasy okrętów marynarki wojennej, przewyższa inne tego rodzaju okręty dzięki swej silnej artyleryi, swym potężnym instalacyom maszynowym i wielu innym zaletom.

Z budową tego okrętu rozpoczęło się przeobrażenie marynarki austro węgierskiej na modłę nowożytną zgodnie z najdalej idącemi wymaganiami sztuki nautycznej. Taka reforma okazała się tembardziej konieczną, ile że na polu marynarki zapanował był w Austro-Węgrzech pewien zastój, a państwo, czyniąc zadość innym piękącym potrzebom nie mogło tyle troski i środków poświęcić marynarce, co innym działom siły zbrojnej. Uznano za konieczne zaniedbanie naprawić i dać marynarce wojennej to wszystko, czego ona potrzebuje, aby spełnić swą misyę jako strażniczka wybrzeża i zamorskich interesów monarchii.

Spuszczenie nowego dreadnoughta na wody Adryatyku odbyło się w sposób niezwykle uroczysty w obecności zastępcy cesarza, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i wielu arcyksiążąt, najwyższych dostojników państwowych i niezliczonych tłumów ludności. Zewnętrzny przepych solennego aktu miał wskazać, jaką wagę przywiązuje monarchia do spełnionego pomyślnie dzieła, jak bardzo liczy na to, że nowy okręt przysporzy sławy, fladze austro węgierskiej. Dodać należy, że wykonano go siłami wyłącznie krajowemi i pod kierunkiem własnych inżynierów, czem złożono chlubne świadectwo siły i zdolności wytwórczej państwa.

Obowiązki matki chrzestnej spełniła arcyksiężna Marya Annuncyata, ceremonii poświęcenia dopełnił biskup polowy armii austryacko-węgierskiej. Po przecięciu szarfy przez chrzestną matkę, zesunął się lekko olbrzymi kolos po pochyłości i zakołysał du mnie na falach modrej Adryi, a towarzyszyły mu okrzyki i oklaski tłumnie zebranej publiczności wszystkich sfer i zawodów.

Z okazyi spuszczenia *Viribus unitis* na wody wystosował cesarz Franciszek Józef dziękczynne pismo do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i prezydenta Rady nadzorczej *Stabilimento tecnico* Kruppa.

Nowe magnificencye.

Prawie równocześnie wybrały senaty obu wszechnic polskich w Krakowie i we Lwowie nowych rektorów na rok 1911/12.

W Uniwersytecie Jagiellońskim godność rektora przypadła prof. dr. Władysławowi Szajnosze, synowi wielkiego naszego historyka, Karola. Rektor Wł. Szajnocha, ur. w r. 1857 we Lwowie, kształcił się na politechnice tamtejszej, następnie w Wiedniu studyował nauki przyrodnicze i 1880 r. uzyskał tam stopień doktora filozofii. W dwa lata później został docentem geologii i paleontologii w Uniwersytecie Jagiellońskim, następnie profesorem nadzwyczajnym, a 1888 r. zwyczajnym. Jest też członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie. W ciągu wieloletniej działalności naukowej ogłosił szereg cennych prac z zakresu geologii, prac pierwszorzędnej wartości, które też wyrobiły mu imię najwybitniejszego współczesnego geologa polskiego.

Senat akademicki we Lwowie powierzył na ten rok godność rektora prof. dr. Ludwikowi Finklowi, cenionemu historykowi.

Dr. Finkel, urodzony 1858 r. w Bursztynie, odbył studya uniwersyteckie we Lwowie, a uzyskawszy tamże doktorat filozofii wyjechał celem dalszego kształcenia się za granicę. Pracował w Berlinie i Paryżu, studyując w archiwach tamtejszych i ogłaszając wyniki tych studyów drukiem. W roku 1885 został docentem historyi i literatury polskiej w wyższej szkole rolniczej w Dublanach, w dwa lata później docentem historyi średniowiecznej i nowożytnej na uniwersytecie lwowskim, a następnie nadzwyczajnym i zwyczajnym profesorem historyi austryackiej.

Z prac swych ogłosił wiele drukiem, jest członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności, a jako jeden z najwybitniejszych historyków cieszy się ogólną czcią. Wśród młodzieży akademickiej, którą otaczał zawsze szczerą życzliwością, ma mir ogromny.

Jubileusz robotnicy.

Niedawno odbył się w znanej krakowskiej fabryce kartonaży p. Bełdowskiego jubileusz 25-letniej pracy zawodowej p. Stefanii Ebertowskiej, która w tejże fabryce pracuje od chwili jej założenia.

Wzorowa ta pracownica pilnością swoją i nadzwyczaj zacnym charakterem stała się wspomnianej fabryki prawdziwą i oddaną przyjaciółką, a pracujące pod jej nadzorem robotnice mają w p. Ebertowskiej prawdziwą opiekunkę i najtkliwszą koleżankę.

Szef firmy uznał więc za wskazane uczcić te rzetelne zasługi wiernej pracownicy i właśnie onegdaj odbyła się w fabryce wspaniała uroczystość jubileuszowa.

Po nabożeństwie w kościele OO. Dominikanów, w którem uczestniczyło przeszło 200 robotników i robotnic fabrycznych, udała się cała ta drużyna do lokalów fabryki. Tu w świątecznie przystrojonej



Nowe magnificencye: Rektor uniwersytetu lwowskiego dr. Ludwik Finkel.

sali głównej chór robotnic powitał stosownym śpiewem p. Stefanię Ebertowską, wprowadzoną do sali przez szefa firmy w otoczeniu nadzorczego personalu poszczególnych działów fabryki i orszaku gości zaproszonych.

Po śpiewie choralnym zabrał głos szef fabryki p. Bełdowski i w serdecznych słowach złożył hołd zasługom jubilatki, poczem ofiarował jej imieniem fabryki cenny upominek.

Po przemówieniu p. Bełdowskiego, które wzruszyło nietylko jubilatkę ale i wszystkich obecnych, nastąpiło przemówienie jednej z robotnic. Następnie odbyło się śniadanie. Ugoszczoną została również cała rzesza robotnicza.

Przy uczcie nie zapomniano i o Darze Grunwaldzkim, na który ofiarowano znaczniejszą kwotę.

Pamiętnym i mile wyrytym w sercach pozostanie ten jubileusz dla całej fabryki p. Bełdowskiego.



Pierwszy „dreadnought" austryacki: Spuszczanie pancernika „Viribus unitis" na fale Adryatyku.

Ze świata kobiecego.

Toalety letnie.

Miejsca kuracyjne, place nadmorskie i górskie miejscowości zaczynają się zaludniać, ożywiać i pstrzyć barwnymi, letnimi strojami kobiet. Ostatnie wyrażenie nie jest przesadnem, nietylko każde większe zbiorowisko strojnych kobiet odznacza się wielobarwnością, ale każda toaleta poszczególna prawdziwej elegantki ma w sobie kilka tonów. Nie stanowią wyjątku nawet kostyumy angielskie i ciepłe okrycia. Kostyumy w ciemnych kolorach, lub w kratkę czarną z białem, naszywają aplikacyami i wypustkami z jedwabiu fijołkowego, wiśniowego, morelowego. W płaszczach przeważa kolor żółty we wszystkich odcieniach, od blado-słomkowego, do ciemno orańżowego Niezmiernie modne jest przybieranie sukien i okryć aksamitem czarnym, podniesionym wypustką w kolorze wiśniowym, pomidorowym, lub heliotrop. Widuje się okrycia koloru *pigeon*, objęte pasem atłasu różowego, lub z surowego jedwabiu z atłasem turkusowym. Gdy dawniej przybierano płaszcze ciężkimi dodatkami: pluszem, aksamitką, wypukłą, grubą aplikacyą, dziś nie rzadko widzi się płaszcze, przybrane całą falą valencienowych falbanek, lub kołnierzem z cienkiej Chantilly.



Modna fryzura.

Cóż dopiero mówić o przybraniu i barwności letnich sukien, z natury swej wymagających sharmonizowania z okresem kwiatów i motyli. Podziwiałam strój świeżo przywieziony przez jedną z naszych pań dla córki po raz pierwszy występującej publicznie na weselu kuzynki. Na szkicu z białego atłasu narzucony tiul haftowany w duże kwiaty, u dołu objęty trzema rulonikami z białego atłasu. Pasek z różowej wstążki z wypustkami z czarnego aksamitu, przy nim duży bukiet z polnych róż. Kilka takichże różyczek do umieszczenia wśród loków ślicznie rondulowanej główki. Ponieważ ślub miał się odbyć w godzinach rannych i w kościele dość odległym od pałacu, do toalety dodany był płaszcz koloru szaro-błękitnego, objęty pasem różowego atłasu, z kołnierzem w kształcie pelerynki z wąziutkich walencienek, naszywanych na tiulu. Do tego kapelusz ze srebrnej tangali, z dwoma bukietami z polnych róż, połączonych z sobą gałązkami cierni, w tyle kapelusza puf z iluzyi; na nim motyle cudnych barw. Toaleta taka jest rzeczywiście upostaciowaniem wiosny.

Podobnie niezmierną barwność i rozmaitość mają dzisiejsze bluzki. Hafty na muślinie, tiulu, linon; przybranie sutażem, kolorowym drukiem, paciorkami. Forma kimono pozwala wkładać te cacka na coraz inne podszewki, nadając skutkiem tego coraz inny wygląd bluzce i pozwalając wkładać je do każdej spodnicy. Ta sama bluzka, drukowana lub haftowana w barwny deseń, może być rano wzięta do obcisłej angielskiej spodnicy kostyumowej na *cache-gorset* ciemnem, w kolorze kostyumu, a po południu włożona na podszewkę z białego atłasu, będzie wyglądała na coś zupełnie odmiennego i niezmiernie strojnego.

Coraz częściej widuje się kapelusze białe. Na plaże i na wieś stosuje się kapelusze z białej piki, lub batystu, praktyczne. Odpowiednio przystosowana falbana lub haft, może być upięta na fasonie pięknemi agrafkami, czyniąc kapelusz niezmiernie łatwym do ubrania. Kapelusze bardziej strojne przybierają kwiatami białemi, ogołoconemi z liści. Czyni to je odpowiedniemi do każdej toalety. Często kapelusze dzisiejsze wyglądają jak koszyk kwiatów; rondko z ażurowej pletni, główka pokryta bzami, makami, lub różami. Wogóle kwiatów używa się w tym roku dużo i wielkich rozmiarów, nie cofa się śmiała modniarka nawet przed piwoniami, które dzisiejsza sztuka wyrabia zdumiewająco naturę przy-



Toaleta do wykwintnego orszaku ślubnego. Suknia z różowego atłasu liberty, objęta z dołu wolantem z czarnej koronki. Tunika z czarnego tiulu, haftowana dżetem i drobnymi, bladymi koralami. Na głowie koplinka, haftowana podobnie jak tunika, przybrana czaplą kitą.

pominające. Bardzo modne są również wiśnie. Po pracowniach zaś zagranicznych przygotowują już na sezon jesienny śliwki. Owoc ten ma rzeczywiście niezmiernie piękne barwy; umieszczony na długiej gałązce, przy ciemnych liściach, może stanowić rzeczywiście piękne przybranie kapelusza. Podobno śmielsi fabrykanci przygotowują też morele i brzoskwinie, a nawet rzodkiewki, pomidory, karczochy i tem podobne jarzyny. Ha, dlaczegóż nie miałybyśmy i tego nosić! Wychodząc z zasady, że nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię, zadecydujemy, że ładna kobieta wszystko włożyć może, byle odpowiednio toaletę sharmonizowała.

Toć i uczesania tegoroczne przeważnie są monstrualne, a jak podnoszą urodę kobiety. Jedną z najważniejszych racyi tego jest rozmaitość uczesań i możność dostosowania ich do twarzy. Najbardziej utrzymują się uczesania w stylu Drugiego Cesarstwa; rozdział przez środek głowy i szerokie, dobrze zondulowane pukle. Kolc (bo przyznajmy się raz otwarcie, że nosimy kolce) z loków i pukli większych i mniejszych, mocno odstający na tyle głowy. Loki sprzedają się już dzisiaj na łokcie, tak jak wałki, podkładki. Ułatwia to niezmiernie uczesanie. Niektóre elegantki francuskie, chcąc połączyć wygodę z modą, wkładają pod włosy zamiast krepiny całą masę iluzyi barwy włosów, w różny sposób skręcanej. Ma to, obok lekkości, jeszcze jeden ważny przymiot. Przy wycieczkach pieszych, powozem lub automobilem, kurz, który w takiej obfitości strzepujemy z płaszcza i kapelusza, dostaje się, rzecz naturalna i we włosy. Z krepiny niemożliwy jest do usunięcia, podczas gdy iluzya rozwinięta, da się strzepać i przyprowadzić do porządku.

Możność przypinania loków z tak zwanych jedwabnych włosów, rozstrzygnęła wreszcie kwestyę brzydoty kąpielowego czepka. Mało jest rzeczy, które do tego stopnia mogą zeszpecić najładniejszą twarz



Modna fryzura.

kobiecą jak ceratowy czepek, włożony z zaoszczędzeniem włosów. Wobec jedwabnych loków mogą one być przytwierdzane do czepków, otaczając wdzięcznie czoło i skronie. Zresztą czepki zastępowane bywają coraz częściej turbanikami z nieprzemakalnej materyi, zgadzającemi się z modą i awantażownemi dla twarzy. Co się tyczy kostyumów kąpielowych, te nie uległy dotąd żadnej zmianie; jak dawniej tak i teraz robią się z szewiotu, flaneli, lub trykotowego materyału. Zresztą czarny trykot z krótką spodniczką, do tego ponsowy lub turecki turbanik, stanowią zawsze najdystyngowańsze kąpielowe ubranie. Niektóre panie wkładają do kostyumu kąpielowego specyalne gorsety z włosia i mocnego tiulu, a na nogi cieniutkie jedwabne pończochy i sandały, która jednak chce używać kąpieli w całej pełni, pływania i swobody, pozostawia zawsze nogę od kolana, gors i ramiona zupełnie swobodne.

Ramo...

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Logogryf:

M
L a k
N e r o n
C e c y l i a
D y a n a
E r a
Z ł o t o
I r y d y o n
K a z a ń
C i s
A g e n t
N i e w o l a
M n i c h
O c h
W a z o n
D z i ó b a k
D a w i d
O n a
a

Zagadka: Kakao.

Zadanie do przestawienia: Pilnuj swego nosa nie cudzego grosza.

Zadanie na rozsypane litery: Kto z Bogiem Bóg z nim.

Szarada: Saragosa.

Zadanie do przestawienia: Na bezrybiu i rak ryba.

Łamigłówka:

Dok
gaz
ida
źle
cap
ski
sęp
raz
ale
pot
ach
pan
aga

Szarada: Ar, Bar, arka, Barka, Barkas.

Zadanie do przestawienia: Na gołego i psy szczekają.

Arytmogryf:

M
O s a
W r z ó d
K r u e z e k
J ó z i a
M u ł
j

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Radziszewski Kazań, M. Więckowska Warszawa, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, J. Lewicki Kołomyja, H. Grzybczyk Lwów, S Wańkowicz Mińsk, O. Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Planecka Kraków, R. Stolarski Podgórze, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok, M. Medyńska Zakopane, T. Rzepecki Lwów, K. Gliński Kołomyja, W. Urban Lwow, J. Wilkosz Rzeszów, T. Popiel Kołomyja, H. Ungar Lwów, M. Kobyłecka Lwów, S. Kozicki Kołomyja, A. Balicki Kraków, K. Wiewiórowski Janów, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, J. Skalski Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Lemiszewski Żółkiew, J. Gramski Tarnów, A. Antosz Jasło, H. Barnat Lwów, M. Bróż Sanok, J. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice, H. Figiel Sambor, K. Leszczyński Jasło, T Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim, S. Domagalski Kraków, W. Raczyńska Sanok, J. Nowacki Śniatyn, M. Pytel Kraków. I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Saodomierz, L Sobieniowski Brzeżany, H. Malinowska Winnica, M. Scholz Rzeszów, K. Bernatowicz Jasło, Z Radzimiński Lwów, M. Münz Stryj, W. Thon Płock, S. Kalinowska Podłęże, R. Linderski Czerniowce, W. Świrski Piotrków, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Ostrowski Lwów, S Hubaczek Tarnopol, C. Wang Tarnobrzeg, H. Engelberg Rzeszów, M. Klapholz Rzeszów, M. Krawecka Kraków, J Darowski Petersburg, J. Sperling Wiedeń, M. Kalicińska Sambor, H Krzywoszewska Jasło, H. Kwaśniewski Lublin, W. Bandrowski Częstochowa, J. Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, R. Reichenberg Cieszyn, S. Gross Sanok, J. Kossowski Lwów, J. Wilczkiewicz Tarnów, S. Lindenbaum Czerniowce, F. Blatterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, K. Fuchs Czeremchów, S. Karczmarski Poddębie, S. Bukowski Kijów, M. Maciejowska Olchowiec, D. Misiągiewicz Tarnopol, R. Ciszewski Kraków, S. Jaworski Zakopane, M. Serbeńska Budzanów, M. Ołeksiukowa Holeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Kowalówka, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Nakładem znanej księgarni wydawniczej Wilhelma Zuckerkandla w Złoczowie wyszła dalsza serya dziełek należących do tak rozpowszechnionej w całym kraju *Biblioteki powszechnej.*

Opuściły prasę następujące tomiki:

Nr. 821. Mieczysław Romanowski: **Łużeccy.**

Nr. 822—826. F. Bernatowicz: **Pojata córka Lezdejki,** albo Litwini w XIV. wieku. Romans historyczny. Tom. I.

Nr. 827—831. F. Bernatowicz: **Pojata.** Tom II.

Nr. 832—833. Charakterystyki literackie pisarzów polskich: XIX. **Kazimierz Przerwa Tetmajer** przez A. Mazanowskiego.

Nr. 834—836. Henryk Ibsen: **Pretendenci do tronu.** Sztuka historyczna w pięciu aktach. Przełożyła Marya Kreczowska.

Nr. 737. Robert Bracco: **Nowele.** Przełożył z włoskiego Leon Sternklar.

Nr. 838—839. Marceli Prevost: **Nowele.** Przełożył z francuskiego Leon Sternklar.

Nr. 840. Eugeniusz Czerikow: **Za poręką.** Z oryginału rosyjskiego tłomaczył Stanisław Zdziarski.

Nr. 841—850. **Gra w szachy.** Teoretyczyy i praktyczny przewodnik gry szachowej z podobizną P. Morphy'ego. Ułożyli P. B. i Bronisław Cięglewicz.

NADESŁANE.

Skutki nowego sportu.

— Panie policyant! Widział pan przecież jak, ten człowiek okładał mię pięściami i kopał i nie pospieszył mi pan na pomoc!

— E... Ja myślałem, że panowie grają w piłkę nożną, więc nie mieszałem się wcale do tego!...

PARYSKIE GADY.

64

— Co? Okupić się mam?

— Tak, proszę pana... Nie zawsze człowiek ma okazyę przejść się w góry razem z miliarderem... Nie zdziwi się więc pan, że ja i mój przyjaciel chcieliśmy z tego skorzystać...

— Chyba że nie mnie bierze pan za miliardera?

— Owszem, pana.

Panajonem, mimo jego pozornego spokoju, miotały najrozmaitsze uczucia, jedne żywsze od drugich: obawa, aby nie stało się co złego Ewie, wstyd, że wpadł w pułapkę, gniew, że Duret jeszcze raz mu się wymknął, ciekawość, w jaki sposób udało się Duretowi otruć więcej niż połowę swych przeciwników i przekupić ich przewodników. Do tych uczuć przyłączyło się jeszcze jedno: złodziej był zadowolony, że go wzięto za miliardera. W każdym innym wypadku nigdyby nie oponował przeciw takiemu mniemaniu, obecnie jednak byłoby to niebezpiecznem. Trzeba było jak najprędzej wywieść Gonzala z błędu.

— Wierz mi, mój przyjacielu, że żałuję bardzo — zaczął znowu flegmatycznie więzień — ale przez powiększające szkło patrzy pan na mój majątek. Nie mam, niestety, tysiąca milionów, ani nawet tysiącznej tego części... Niech mi pan jednak pozwoli zadać sobie jedno pytanie: Co się stało z pańskim hiszpańskim akcentem, z którym było panu tak bardzo do twarzy?... Zdaje mi się, że wymowa pańska przypomina kraj, leżący dość daleko od granicy hiszpańsko-francuskiej... Czy pan przypadkiem nie jest rodem właśnie z tamtych stron?

Panajon był zawsze doskonałym graczem. Przegrał partyę. Odczuł bardzo boleśnie tę zmienność szczęścia. Lecz już się uspokoił i powracał mu jego zwykły dobry humor Odzyskał swą ufność w siebie i coraz mniej niepokoił się o Ewę. Co zaś do niebezpieczeństwa, które jemu samemu groziło, to nawet przez chwilę o niem nie myślał. Również uspokajała się i piękna prasowaczka. Łzy, jakie jej jeszcze płynęły z oczu, były tylko oznaką radości, że Panajon powrócił zupełnie do siebie. Po rozpaczy, jakiej przed chwilą doznała, nie żądała na razie nic więcej. Mniejsza z tem, że jest więźniem rozbójników, byle tylko żył jej przyjaciel.

Tymczasem mniemany Hiszpan odpowiadał na ostatnie zapytanie mniemanego miliardera.

— Rzeczywiście, ja nie jestem z Irunu, proszę pana, pochodzę z Londynu...

— Ach! domyślałem się tego! — odrzekł złodziej. — Nazywa się pan?

— William Palmer.

— William Palmer?... Pan jest William Palmer?... W takim razie pański przyjaciel nazywa się Fred Burley?...

— Pan nas zna?... Istotnie... Jesteśmy dość popularni w krajach anglosaskich.

Fałszywy Gonzalo Morales swym uśmiechem zdradził zadowoloną próżność.

Panajon zamilkł. Był zdumiony.

— Nic nie rozumiem — szeptał. — Pan twierdzi, że Duret nie wchodził z panami w porozumienie?...

— Nie... Chce pan wiedzieć, jak się to wszystko stało?

— Będę bardzo wdzięczny za te informacye... Zwrócę jednak przedtem uwagę na jedną tylko rzecz... Dzikość jakiegoś Moralesa i Herrery jest rzeczą zupełnie naturalną.. Oburza mnie jednak dzikość Palmera i Burleya.. Postępowanie panów nie jest godne dżentelmenów, słyszy pan?... Krępować młodą kobietę i rzucać ją na ziemię... Och! będą o tem wiedzieli w Londynie, przyrzekam to panu! A przekona się pan, czy mam ja tam posłuch!

William Palmer zaczerwienił się cały.

— Przepraszam! — rzekł. — Wiązałem panią z całem szacunkiem... i z delikatnością, na jaką pozwalało pani wyrywanie się... I wcale nie rzucałem pani na ziemię. Położyłem jak najwolniej...

— Skrzywdził mnie pan! — przerwała Ewa. — Jesteś pan dzikusem!

— To pani mnie uderzyła, wyrywając się — zaprzeczył przewodnik. — Proszę mi uwierzyć, że zachowałem się z wszelkimi winnymi względami. Nie mam wcale zamiaru traktować przez nogę miliardera... i z przyjemnością zamieniłbym ten sznur na girlandy z kwiatów, byle one były dostatecznie mocne... Za nisko może mają państwo głowy?... Zaraz!...

Poszedł w róg lepianki, gdzie znajdował się stos omszałych kamieni. Musiały one dawniej służyć za jakiś prymitywny piec. Palmer wybrał z nich dwa najmniejsze i podłożył je jako poduszki pod głowy swym więźniom, przepraszając bardzo, że nie może ofiarować im nic lepszego.

— A teraz — rzekł Panajon — niech pan mówi.

— Bardzo chętnie... Nic nie mam do ukrywania. Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem do Hendaye południowym expressem... Zatrzymaliśmy się w Grand-Hotelu... W nocy chcieliśmy oporządzić podróżnego z sąsiedniego pokoju. W tym celu zrobiliśmy dziurę w ścianie nad łóżkiem...

— Dalej! — przerwał mniemany miliarder.

— Rozpyliliśmy...

— ...Chloroform przez tę dziurkę w ścianie... Dalej. Znam się na takich operacyach.

— Ach?... Dobrze!... Jednem słowem weszliśmy do naszego sąsiada. W pokoju jego było ciemno, jak w kominie i nie słychać było nawet jego oddechu. Baliśmy się, czy przypadkiem nie otruł się chloroformem... Zaświeciłem lampę. I pośrodku pokoju ujrzeliśmy w fotelu wysokiego, bladego mężczyznę w czarnem ubraniu, który patrzył na nas w milczeniu jakiemś dziwnem okiem.

Na wspomnienie tej sceny przewodnik pokiwał głową i przerwał na chwilę.

— Niech mi pan wierzy, jeżeli pan chce — mówił dalej. — Ani ja, ani mój przyjaciel nigdy jeszcze nie doznaliśmy strachu. Ten niespodziewany jednak widok tak nami wstrząsnął, iż nie mieliśmy sił uciekać. Przyznaję się do tego otwarcie. Przez chwilę staliśmy, jak zahypnotyzowani... a gdy zaczął do nas mówić tonem poważnym i ostrym, odpowiedzieliśmy pokornie — my, od których żaden najsprytniejszy sędzia nie mógł nic więcej wydobyć ponad to, cośmy sami chcieli powiedzieć. I gdy nas odprawił, wynieśliśmy się jak najprędzej.

— To dziwne — szepnął Panajon.

— Przed odejściem naszem — opowiadał dalej Anglik — zaproponował nam, byśmy zabrali się do jego sąsiadów, między którymi jest miliarder, jego największy wróg...

— Nędznik! — zawołała Ewa.

— Nie był to zły pomysł — przyznał Panajon. — Co za bezczelność! Ach! nasz zacny prezes zdystansował wszystkich zawodowych kryminalistów!

— Po powrocie jednak do siebie — ciągnął dalej William Palmer — nie znaleźliśmy dość sił i odwagi, by wziąć się do wskazanej przez niego roboty... Byliśmy jeszcze przerażeni a przytem nie wiedzieliśmy, który z tych podróżnych jest miliarderem. Rano dopiero opanowaliśmy swój strach i ułożyliśmy plan działania. Widząc samochód, domyśliliśmy się, że panowie jesteście turystami. Postanowiliśmy przebrać się za przewodników hiszpańskich.

Panajon był bardzo zainteresowany tem opowiadaniem. Przedewszystkiem ponieważ sam odgrywał w niem rolę i to pierwszorzędną, a przytem kolega po fachu opowiadającego, mógł jako znawca ocenić jego pomysłowość.

— Musieli jednak panowie gdzieś się przebrać? — zapytał.

— Owszem, w najbliższym sklepie na ulicy du Port. Powiedzieliśmy kupcowi, że chcemy się tak fotografować. Zdaje się jednak, że nie bardzo w to wierzył, zwłaszcza iż przed wyjściem pomalowaliśmy sobie twarze na brunatno. Nie przypuszczał mimo to, byśmy byli chloroformistami, uważał nas raczej za dowódców kontrabandzistów...

— A potem zjawili się panowie do nas z ofiarowaniem swych usług — rzekł Panajon. — Wszystko teraz jest zrozumiałe... z wyjątkiem jednego punktu. Dlaczego panowie myślą, że to ja właśnie jestem miliarderem?

— Rzuca się to samo w oczy! Sam pański sposób wydawania pieniędzy. Pańskie zachowanie się...

— Palmer, mój przyjacielu, co powiedziałem przed chwilą Gonzalowi, powtarzam teraz Williamowi... Jesteś pan głupi!

Anglik uśmiechnął się i ukłonił.

— Sądzi pan, że naciągam pana? — mówił dalej Panajon. — Niestety, nie! Miliard mój istnieje tylko w pańskiej wyobraźni. Żałuję bardzo, ale tak jest... Czy zna pan niejakiego Panajona?

— Naszego kolegę francuskiego?

— Tak...

— Znam go ze słyszenia.

— Nietylko ze słyszenia... Jest on przed panem.

Anglik zamilkł na chwilę, potem roześmiał się podejrzliwie.

— Nie wierzy mi pan? — zapytał Panajon.

— Naturalnie, że nie!

— Tem gorzej dla pana!

— I dla pana! — odparł Palmer. — Będzie pan tak pozostawał, dopóki Burley i ja nie umieścimy w pewnem miejscu pańskiego miliona.

— Gdzie jest teraz Burley?

— Odprowadził tych panów do Hendaye i teraz wraca tutaj... Tak się zawczasu umówiliśmy... Pójdzie po naszych śladach.

— Lecz dlaczego czekał pan tak długo z swą napaścią na nas?

— Trzeba było oddalić się dość od miasta... zagłębić się w górach.

— Słuszna uwaga...

— Tutaj możemy być zupełnie bezpieczni... Nikt nie przeszkodzi nam w naszych układach... I ta rudera bez dachu jest doskonałem schroniskiem. W tem miejscu właśnie postanowiłem ubezwładnić pana... Szedł pan przedemną o kilka metrów. Jednym skokiem dopędziłem pana i ciosem w kark powaliłem na ziemię. Pani skoczyła na mnie, jak tygrysica, i omal mnie nie przewróciła — pohamowałem się jednak, choć groziła mi utrata oczu od palców pani!

— Nędznik! — zawołała Ewa. — Wykręcił mi ręce! Nikczemnik!

— Pst! — szepnął Panajon.

— To nie była nikczemność — odparł Anglik — było to dżiu-dżitsu.

— A więc — zaczął znowu Panajon — nie przestaje mnie pan uważać za króla złota?

— Nie!... Chyba że zostanę przekonany o swej pomyłce...

— Żałuję bardzo, że nie mam przy sobie żadnych dowodów... Lecz słyszałem, jak nazywano pana Johnem Harrisem...

— Harris jest to mój pseudonim zawodowy.

— Bardzo pięknie! Wyświetlimy to później!

— A na razie może pan nam dać czego do picia?

— Przywiązałem osła do muru, zaraz go tu przyprowadzę...

William Palmer skierował się do zmurszałych drzwi i wyszedł z lepianki.

— Dlaczego nie powiedziałeś żeś nie ty miliarderem, lecz Jackson? — zapytała Ewa.

— Po co? I takby mi nie uwierzył... A gdyby nawet uwierzył, do tej pory nie puściłby mnie, dopóki Jackson nie złożyłby za mnie okupu. Duret tymczasem i tak ucieknie.

— Wio! — słychać było głos Anglika.

Po chwili ukazał się w drzwiach, popychając

przed sobą osła. Zdjął z niego walizy, otworzył jedną i odkorkował butelkę szampana.

— Nie może nam pan rozluźnić trochę więzów, byśmy mogli się napić? — rzekł Panajon.

— Och! To niemożliwe! Bardzo żałuję!

— Przecież... — chciała oponować Ewa.

— Niech pani nie nalega! Będzie to zupełnie daremne! Państwo warci dla mnie milion... Milion! Proszę dobrze tylko zastanowić się nad tą cyfrą! W takim wypadku nigdy nie ma dosyć ostrożności.

Zbliżył butelkę do ust Panajona i dał mu się napić jakby choremu. W ten sam sposób zaspokoił pragnienie Ewy. Potem Anglik dokończył butelki, zapytał grzecznie, czy może usiąść i usadowił się na stosie okopconych i omszonych kamieni.

Osioł zaczął szczypać zębami mech. Panajon pogrążył się w rozmyślaniach. Dwie godziny upłynęły w zupełnem milczeniu. Słońce zachodziło już za szczyt góry, gdy nagle w powietrzu rozległ się ostry gwizd. Palmer zerwał się z kamieni i wyszedł z lepianki. W chwilę potem powrócił z Fredem Burleyem.

Nowoprzybyły był bardzo zmęczony długą drogą, jaką musiał pośpiesznie odbyć.

— Proszę pana — rzekł, kłaniając się z uszanowaniem Panajonowi i Ewie — przyjaciel mój powiedział mi, że czyni pan pewne trudności.

Więzień na widok Burleya uniósł się cokolwiek i oparł się na łokciu.

— Potem porozmawiamy o tem — przerwał. — Naprzód niech mi pan da wiadomości o mych przyjaciołach.

— Bardzo chętnie. Są one doskonałe...

Panajon przypatrywał się bacznie minie przewodnika. Widać było, że nie kłamie.

— To dobrze! — szepnął, oddychając głęboko z uczuciem ulgi, której doznała i Ewa.

— Są one doskonałe — powtórzył Fred Burley — i nadzwyczaj ciekawe...

— Ciekawe? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Zaraz się państwo dowiedzą... Jestem jednak bardzo zmęczony... Czy pozwoli mi pani usiąść?

— Bez tych tylko komedyi! — odparła Ewa. — Niech pan mówi!

Fred Burley opadł prawie bez sił na ziemię. Towarzysz jego przyniósł mu butelkę szampana, którą zaraz wypił wielkimi łykami. Potem zaczął mówić:

— Gdyśmy dotarli do Biriaton, wynająłem powóz... Chociaż osły szły bardzo spokojnie, grzbiety ich jednak nie były warte nawet drewnianej ławki... A przytem posuwaliśmy się bardzo wolno... Stąd wyruszyliśmy w wielkim przedpotopowym wehikule. Trzej moi chorzy... mówię moi chorzy, gdyż bardzo troskliwie opiekowałem się nimi. Ja i Palmer jesteśmy nietylko włamywaczami, ale i ludźmi kulturalnymi. Chorzy moi nie czuli się ani lepiej ani gorzej... Patrzyli błędnym wzrokiem na drogę i przechodzących ludzi. Nagle, gdyśmy przejeżdżali koło dworca, ożywili się niespodzianie, zaczęli zrywać się z siedzenia i wołać...

Panajon i Ewa wstrzymali oddech. Palmer również słuchał z natężoną uwagą.

— Na środku placu — mówił dalej Burley — na kilka kroków przed nami stała młoda panna, elegancko ubrana, kapelusz jej jednak i płaszcz były zakurzone, jakby odbyła długą podróż...

— Kamilla! — zawołał jednocześnie Panajon i Ewa.

— Panowie ci — rzekł złodziej — nazywali ją Ludwiką...

— Ludwiką?... — powtórzyli obydwaj więźniowie, których zdziwienie zamieniło się teraz wprost w osłupienie.

— Kazałem zatrzymać powóz. Chorzy moi chcieli wysiąść... Powstrzymałem ich od tego... Upadliby... Ach! co za scena! Nie będę nawet próbował opisać jej państwu. Zdaje się, że ta spotkana osoba była obłąkaną...

— Rzeczywiście jest obłąkaną.

— Była ona jednak spokojniejszą od tych panów, a zwłaszcza od tego najmłodszego, który jakby pod wpływem różdżki czarodziejskiej odzyskał swe siły...

— Nikt jej nie towarzyszył? Sama była?

— Obłąkana? Zupełnie sama...

— Jak to się stało?

— Dziwili się temu ciągle i moi chorzy. Jednem słowem gdy powóz zatrzymał się przed hotelem, było w nim o jedną chorą osobę więcej, gdyż zabrałem ze sobą i obłąkaną.

— I ja dziwię się temu wszystkiemu — odezwał się Palmer. — Wygląda to na coś bardzo sensacyjnego.

Ewa i Panajon patrzyli na siebie, nie wiedząc nawet, co o tem myśleć.

— Właścicielka i cała służba hotelu podniosła się do góry, widząc wszystkich w takim stanie — ciągnął dalej Fried Burley... Posłałem po lekarza... Znajdował się on właśnie w hotelu przy chłopcu, który również był otruty.

— Niezwykle sensacyjna historya! — powtórzył Palmer.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwszych i trzecich w życiu tak wiele,
Wszystkie tu ścieżki nimi usłane
Dzień każdy nowe pod stopy ściele,
Każdy po sobie zostawia ranę.
Drugie i trzecie na łez dolinie,
Kiedy nas ciężar krzyża przygniata
Z głębi serc naszych gdy raz popłynie
To zda się, prosto w niebo ulata!
Czasem je zdala przyniesie echo,
Tam, z cichej wioski w wieczór majowy
Po rosie... w duszę spłynie pociechą
Swojskie to, znane, a urok nowy!
Całość tem większą dla nas zasługą
Im więcej bólu życie przynosi
Gdy Bóg wędrówkę przeznaczył długą
To sam dał przykład, jak ból się znosi.
On nam udziela męstwa i siły
By wytrwać w znoju aż do mogiły!

Łamigłówka.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Początkowe litery odpowiednio uzupełnionych wyrazów utworzą nazwisko zmarłego niedawno włoskiego poety i tytuł jego dzieła.

— ea
— ko
— uz
— ra
— an
— et
— ar
— en
— sa
— ur
— ga
— as
— ka
— uł
— at
— yk
— li

Trójkąt magiczny.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Pierwszy rząd pionowy i poziomy odpowiednio odgadniętych wyrazów podadzą nam nazwisko słynnego norweskiego pisarza

□ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Idź precz (w obcym języku) 3. Inaczej kres 4. Przyrząd sportowy. 5. Mieszkanie pszczół. 6. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

C z o ł o, g o t o w a, m u r.

Zagadka.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Dwie litery w jednym rzędzie
A z nich mała torba będzie.

Logogryf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię żeńskie, końcowe imię męskie.

□ — — — — — □
□ — — — — — □
□ — — — — — □
□ — — — — — □
□ — — — — — □
□ — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Przyrząd służący do powstrzymywania ruchu. 2. Jedna z Muz. 3. Część pługa. 4. Poemat bohaterski. 5. Imię męskie. 6. Kolumny z figur ludzkich w architekturze.

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

Litery, umieszczone w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą wydarzenie z dni ostatnich, zajmujące obecnie uwagę całej Austryi.

Le —
— ak
dą —
— ko
bó —
gz —
— on
— da
ca —
on —
mu —
ni —
— ga
— en
ni —
— oc
łu —
— fa

Szarada.

Ułożył Gwizdek z Krakowa.

Drugie rzeka, co czasem cały kraj pokrywa,
Potem bywa urodzaj i obfite żniwa,
Trzecia z pierwszą jest wyspą w południowej stronie
Jest to perła wspaniała w holandzkiej koronie,
Całość znajdziesz na stołach! Nie jest to potrawa
Lecz tylko dla zapachu i smaku przyprawa.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wiedza, ski, grota, o, on, Rzym.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Litwaekie mrowie:** Powieść współczesna.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego